

# ŚWIĄTU



Czerwiec stały, grudzień doskonały.

Czerwiec gdy zagrzmie, gdzie zorze za-  
[chodzą,  
Ryby się znacznie i obficie rodzą.

Kiedy się Medard rozwodni,  
Będzie deszczu sześć tygodni.

Ze świętą Małgorzatą,  
Zaczyna się lato.



KOBIECE DOLE.

III.

HELENA.

Było ich dwoje, brat i siostra, bliźnięca para, jedyne potomstwo rodziców, którzy chociaż nie posiadali dóbr ziemskich, kamienic, ani kapitałów, żyli jednak dostatnio z pracy ojca prawnika.

Chłopcu nadano imię Bronisław, albowiem na nim spoczywać miała przyszłość rodziny, on miał kiedyś, jak to dziś czynił ojciec jego, bronić mienia i sławy bliźnich, córka miała być piękną, więc ją nazwano Heleną. Matka nie wyobrażała sobie, by córka jej inną być mogła. Każda matka marzy o tem, że dzieci jej posiadać będą wszystkie wdzięki i wszystkie doskonałości. Czy jednak pani adwokatowa wiedziała o piękności żony Menelausa za sprawą Homera, czy Offenbacha, to byłoby trudnem do rozstrzygnięcia, dość, że o niej wiedziała, skoro na cześć trojańskiej bohaterki, nadała imię córce swojej.

Nieraz wieczorem rodzice rozmawiali o przyszłości dzieci, bo kochali je nadewszystko. Syna mieli kształcić wysoko, ażeby został znakomitym prawnikiem, o córkę nie troszczyli się wcale. Wyrośnie pod okiem matki, piękna jak ona i znajdzie z łatwością męża, który na nią pracować będzie, a którego nawzajem ona stanie się pociechą i szczęściem, jaką matka była dla ojca.

Wprawdzie mówiono już wiele o nauce i szkołach dla kobiet, ale pani adwokatowa, kobieta starej daty uważała, iż dziewczynka na krok od boku matki odstępować nie powinna.

Przytem, według niej, pensye itp. miejsca nauki dla kobiet mogły jedynie być pożyteczne dla tych, które los zmusza być nauczycielkami, a przecież nie to czekało jej dziecko. Ona sama kształciła się w domu, tak samo więc zamierzała postępować z córką.

W ciągu życia spostrzegła nieraz brak jakiego klejnotu lub stroju posiadanego przez przyjaciółki, nie spostrzegła nigdy braku umysłowego zasobu; wyciągała więc z tego praktyczny wniosek, iż pieniądze, jakieby musiały pójść na naukę, obrócić należy na zwiększenie wyprawy lub posagu córki.

Pod względem wychowania mąż nie sprzeciwiał się żonie, bo na-przód uważał, że dziewczynka zależeć powinna wyłącznie od matki, a powtóre sam będąc bardzo szczęśliwy w małżeńskim pożyciu, znaj-

dował, że nauka jest rzeczą dla kobiety zbyteczną. Nie pragnął widzieć w żonie ani filozofki, ani sawantki, byle umiała dobrze zarządzić domem i ładnie się ubrać, a zresztą była kochającą i uległą, wystarczało mu to zupełnie, sądził więc, iż żaden mąż więcej żądać nie ma ani prawa, ani potrzeby.

Stosownie do ułożonego programu, gdy dzieci podrosły, syna oddano do szkół, dziewczynkę matka uczyć abecadła zaczęła. Rzecz dziwna jednak, Helenka skoro tylko nauczyła się czytać, chwytła co tylko drukowanego było w domu i gotowa była siedzieć spokojnie dzień cały nad książką. Książka cieszyła ją więcej niż zabawki, więcej niż lalka, która — ku wielkiemu zdumieniu matki — leżała w kącie zaniedbana, więcej nawet, niż nowa sukienka.

Gdy Broniś zaczął chodzić do szkół, okazało się wbrew przewidywaniom rodziców, że zdolności jego były bardzo mierne. Nauka przerażała go i szła mu z niezmierną trudnością. Wzięto więc korepetytora, który powtarzał chłopcu przedmioty wykładane w szkole i całe popołudnie rozlegały się w pokoju dziecinnym deklinacje łacińskie: *aurea, aureum, terra...* i pełno innych rzeczy. Rzeczy te jednak pomimo pomocy korepetytora w żaden sposób pomieścić się nie chciały w głowie Bronisia; powtarzał daremnie sto razy usłyszane słowa przy czym oczy jego nabierały wystraszonego wyrazu, a okrągła buzia przedłużała się w sposób zdumiewający, ale spamiętać ich nie mógł.

Helenka była obecna tym usiłowaniom brata, prowadzącym do niezbyt fortunnych rezultatów i skoro tylko przychodził korepetytor, biegła do pokoju, w którym odbywała się lekcja, słuchała uważnie, potem przeglądała kajety, a w końcu roku umiała doskonale to, czego brat nauczyć się nie mógł i gdyby mogła była za niego zdawać egzamin, byłaby niezawodnie otrzymała promocję, której nie dostał Broniś, — może nagrodę nawet, o której mu się nie marzyło.

Na drugi rok było to samo. Natura widocznie pomyliła się, obdarzając dziewczynę bystrością umysłu i chęcią do pracy, których zupełnie brakło chłopcu. Niestety natura pomyliła się także co do wdzięków. Broniś był ładnym blondynkiem, o świeżej, okrągłej, bezmyślnej twarzyczce, w czasie, gdy Helenka nie była wcale podobną do swej trojańskiej imienniczki, i trzeba było macierzyńskiego zaślepienia, ażeby nazywać ładną, tę wątłą, bladą dziewczynkę o nieregularnych rysach i szeroko rozwiniętym czole, które pożerało jej całą fizygnomię.

Bliźniaki kochali się bardzo, ale pomiędzy nimi także role były przeinaczone, Helena opiekowała się bratem, a on radził się jej we wszystkim. Ona była głową; ile razy tej głowy posłuchał, dobrze na tem wychodził. Z pomocą siostry jedynie zdołał ukończyć szkoły, bo ona uczyła się z nim razem, zamiast niego; umiała tysiączne sposoby wbijania mu w pamięć rzeczy niezbędnych, szczególnie przed egzaminami.

— Helenka jest dużo zdolniejsza od Bronka — mówił ojciec do matki.

— Cóż stąd, kiedy to dziewczyna — odpowiadała ta ostatnia.

I na tem kończyły się uwagi rodzicielskie, nie pociągając za sobą żadnego praktycznego rezultatu.

Bronisław wstąpił do uniwersytetu i uczęszczał na wydział prawny, on przecież miał odziedziczyć klientelę ojca i zdobyć sobie stanowisko — a było to rzeczą tem potrzebniejszą, że ojciec zaczął zapadać na zdrowiu, i nie mógł już podołać praktyce, kosztowna zaś kuracja wyczerpywała nie wielkie zasoby rodziny, która niestety nie umiała pamiętać o jutrze.

Po długiej chorobie nastąpiła śmierć najlepszego męża i ojca, a matka i dwoje sierot zostało się na świecie bez opieki, w obec tego zwykłego, najzwyklejszego problemu: jak zdobyć sobie chleb powszedni?

Powróciwszy z pogrzebu, usiedli we troje w najmniejszym pokoju apartamentu, który wkrótce mieli opuścić. Matka szlochała ze spuszczonemi na kolana rękoma; wraz z mężem straciła wszystko: miłość, szczęście, spokój, dostatek, położenie społeczne, i teraz była już tylko rozbitkiem życia, istotą nieszczęśliwą, na nic nieprzydatną, nie wiedzącą jak egzystować dalej, ciężarem dla siebie i drugich.

Nigdy dotąd nie troszczyła się o nic i nie dotknęła praktycznej strony życia. Gdy nie miała pieniędzy, szła do męża i nie pytała, skąd on je bierze. Cóż jej teraz pozostawało? — Pozbawiona inicjatywy, zwracała się instynktownie do syna, uważając go za głowę domu.

Ale syn tej ufności matki odpowiedzieć nie mógł, był równie przygnębiony jak ona sama i równie przerażony przyszłością, a jeżeli poczuwał się do nowych obowiązków, to na to tylko, by rozumieć, że im podołać nie potrafi — płakał więc nad swoim sieroctwem.

— Cóż będzie teraz? — spytała wreszcie matka po długim milczeniu, nie mogąc doczekać się od niego żadnego wyrazu.

Bronek podniósł na nią załzawione oczy.

— Cóż będzie teraz? — powtórzył jak echo.

I znów milcząc, patrzyli na siebie przez łzy.

Wtedy zabrała głos Helenka.

— Bronek musi skończyć uniwersytet — rzekła stanowczo — tak chciał ojciec. Sprzedamy wszystkie niepotrzebne rzeczy, zachowując tylko niezbędne, i spłacimy tym sposobem długi zaciągnięte na pogrzeb.

— A my? — spytała matka.

— My przeniesiemy się na małe mieszkanie.

Małe, czy wielkie, to nie usuwało trudności w przekonaniu biednej wdowy, bo nie pojmowała jak opłacać je będą.

— Ja zapracuję — wyrzekła Helenka, rozumiejąc milczenie matki.

— Ty! — zawołała — ty! kobieta?!

Helena podniosła się, pełna energii. Umiała to wszystko, co brat jej, a nadto władała dobrze nowożytnymi językami, których on nigdy nauczyć się nie mógł; była inteligentna i pracowita. Więc chociaż matka i brat dowierzali jej, zaczęła starać się o pracę.

Mogła podjąć się zajęcia biurowego lub handlowego, prowadzenia kasy, dawania lekcji, ale szczególnie obeznana była z biegiem interesów prawnych, nieraz nawet u ojca, jeśli był nawał pracy, zastępowała de-

pendenta, a ojciec śmiał się i mówił, że ma w niej doskonałego pomocnika — mogła więc czynić to nadal u innych za pieniądze.

Wszędzie jednak, gdzie zwróciła się ze swoim żądaniem, spotkała zdziwienie, śmiech, lub suchą odmowę, a to stosownie do stopnia zażyłości; niektórym zaś projekt jej wydawał się tak dziwnym, iż radzono jej po przyjacielsku, nie wspominać o nim, gdyż ludzie wątpić gotowi o jej zdrowych zmysłach.

Lekcje możeby dostała jeszcze, ale to tylko w razie, gdyby nie odzywała się o innych projektach zarobku. Zresztą, kto wie, przy silnej protekcji możeby powierzono jej kasę w jakim handlu, zapłata przecież starczyłaby zaledwie na nędzne utrzymanie jednej osoby.

Helena rachowała najwięcej na to, że któren z kolegów ojca da jej miejsce w swojej kancelaryi. Nauki prawne nęciły ją szczególnie, może było w tem usposobienie dziedziczne, może obsłuchanie się, może też studia brata, któremu pomagała w uniwersytecie zarówno jak w szkołach — wpłynęły na ten kierunek zdolności. Nie dała za wygraną, nie zraziła się szyderstwem, ale kołatała do wszystkich drzwi, w nadziei, że może znajdzie takie, które się przed nią otworzą.

— Sprobój pan przynajmniej przyjąć mnie za najmłodszego dependenta — prosiła jednego z prawników, który był częstym gościem w ich domu wówczas, gdy dom ten był otwartym, przyjemnym, a z nią samą był zawsze w dobrych stosunkach.

— Panno Heleno, zrobiłbym dla ciebie wszystko, tylko nie to.

— Dla czego?

— Dla tego, że to niepodobna; umysł kobiecy nie jest dość pozytywnym, ażeby objąć zawikłania prawne. A potem... potem śmiano się ze mnie, straciłbym klientów.

— Przecież w Ameryce...

— O! Ameryka!... w Ameryce kobiety są adwokatami, ale my nie żyjemy w Ameryce. a tutaj... tutaj i dla mężczyzn zajęć brakuje.

Był to może jeśli nie cały powód odmowy, to przynajmniej jego połowa. Zresztą dodać trzeba, iż Helena, pomimo przywidzeń matki, urodziwą się nazwać nie mogła, a nawet energiczne jej rysy były bardzo nieregularne. To utrudniało jej położenie; zdarza się bowiem niekiedy, iż ludzie obdarzeni rycerskim usposobieniem, łamią przesąd i występują z nim do walki dla ładnej kobiety, ale dla brzydkiej!... To byłoby podwójną śmiesznością.

(Dokończenie nastąpi.)

WALERYA MARRENÉ.

## Z DZISIEJSZEJ POEZJI POLSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

### I.

FELICYAN FALEŃSKI.

Meandry. Strzępy myśli rozwianych. Kraków 1892. — Felicyana, Przekłady obcych poetów II. Kraków 1892.

Felicyan Faleński należy do tych poetów, o których prasa nasza zazwyczaj milczy, a których publiczność prawie całkiem nie czyta. Wprawdzie, ile razy przyjdzie jego imię przy jakiej sposobności wymienić, łączy się je z wyrazami najpochlebniejszego uznania, ale ta moneta komplementów zastępuje tylko rzeczywistą nieznaną jego utworów. Czemu się to tak dzieje? Żeby to wyjaśnić, trzeba by podobno z jednej strony sięgnąć dość daleko wstecz w historię »siódmego mocarstwa«; z drugiej strony tłumaczy się to nie szukającą rozgłosu, trzymającą się na uboczu indywidualnością samego autora, — który zbiór najważniejszych utworów (»Z ponad mogił«) wydał swego czasu (1871) bez imienia i nazwiska, a pierwszy tom »Przekładów« wydrukował w stu egzemplarzach zaledwie, a i tych w obieg księgarski nie puścił. Tem mniej zaś kiedykolwiek i gdziekolwiek o jakąbądź reklamę się starał.

Jest to przede wszystkim z usposobienia i talentu poeta liryczny o własnej, bardzo oryginalnej indywidualności. Poezja liryczna rozkwitła u nas naprawdę dopiero po zwycięstwie romantyzmu. Przedtem — nie wyjmując nawet XVI wieku — krępowana była pewnym konwencyonalizmem, uczucie własne stroiło się w pewne utarte, retoryczne zwroty, ozdabiane pięknoscią formy, ale nie nowością myśli. Dopiero romantyzm walcząc w obronie osobowości, buntującej się przeciw »prawom porządku«, wyswobodził tę indywi-

dualność z pod opieki szablonu i formułki, dokonał tej emancypacji własnego »Ja«, której znamiona tak gruntownie określił niedawno jeden z krytyków francuskich. Na gruncie romantycznym wyrósł zarówno Musset jak Heine, ci co nadali główne piętno nowoczesnej liryce. Utworzyły się za ich wzorem nowe szkoły poetyczne, a z pod ich wpływu nie wyzwolili się nawet najzdolniejsi z naszych dzisiejszych poetów. Nawet dla poezji Asnyka mają te wzory ogromne znaczenie. U Faleńskiego nie ma tego wpływu wcale. Nie spotyka się u niego ani Heinowskiego szyderczego uśmiechu, ani ogólnoludzkiego smutku lub roztkliwienia »dziecka wieku«. Jest to natura zdrowa, jędrna, skupiona w sobie, bardzo męska. Lubi czasami pewną twardość tonów, przechodzących u niego w zgrzyt żelaza w tych wypadkach, w których szkoła Mussetowska pociągnięcia po jedwabiu używa. Bo luttia jego nie jest okrecona, jak u innych kwiatami, ale raczej twardymi liśćmi dębiny:

Przystały tobie nawet *dzikie zgrzyty*,  
Jakie niestrojna stal wygryza w szklwie;  
Bowiem być może nieraz, iż dotkliwie  
Uśmiechem gorzkim usta sobie skrzywię,  
Bolesnych wspomnień, łez lub skarg nie syty.

(Z *ponad mogił.* str. 3).

Ten gorzki uśmiech nie ma jednak nigdy podobieństwa do »*Welt-Schmerz'u*«; smutek u Faleńskiego jest zawsze określony i wynikający z pewnej widomej

przyczyny. Smutku w ogóle nie tyle bywa u niego, ile raczej rozrzwienia i miękkich tonów, które go zastępują. Różnica jest ta, że rozrzwienie przychodzi mimowoli, bez obrachowywania artystycznego efektu, jaki wywoła, a smutek jest nastrojem, którego umysł artysty jest z góry świadomy i którym chciałby natchnąć współczującego czytelnika. U Faleńskiego zaś to, co go smuci, bywa zawsze starannie okrywane nie zawsze przejrzystą szatą pogody, z pod której się tylko czasem, przemocą, w formie rozrzwienia wyrwa.

Charakteryzuje go również — w przeciwieństwie do szkoły powyższej — »moralne zdrowie«, brak skłonności do opiewania piękności »kwiatów grzechu«, smutny pomost, który łączy romantyzm z dekadentami. Ideały Faleńskiego są pełne czerstwości i siły, zawsze w zgodzie z etyką pozostające i nie szukające sławy, jak tylko po rzymsku: w cnotach obywatelskich. Stąd to tak dużo w jego poezji pogody i ogromna doza humoru. Nie tyle jest to dowcip, jak humor o szerokim zakroju, bardzo dosadny, nieraz szorstki, czasami przypominający rodzaj humoru angielskiego, wywołującego efekt komiczny przez wypowiedzianie największych niemożliwości zupełnie poważnym tonem. Są u niego utwory w bardzo przybliżony sposób na ton humorystyczny nastrajane (»Świstki Sylena«, Poznań 1878).

Bardzo często spotyka się u niego — nie szyderstwo — ale lekki żart, skierowany przeciw sobie samemu, co stanowi wielki wdzięk jego utworów, odbierając im wszelką zgorzkniałość ku ludziom i ku całemu światu, jakie się czasami u pokrewnych mu natur poetyckich spotyka. Dowcip Felicjana jest czasem lekki i błahy, ale płaskim nigdy nie bywa; nawet w najulotniejszych wierszykach odznacza się dobrym smakiem:

Ile Nimf tylko — wszystkie są w rozpaczy,  
W łzach mokrych, w brudnej żalobie.  
Bo Narcyz żadnej kochać z nich nie raczy,  
Tylko się kocha sam w sobie.

I jak się począł miłować zajadle  
Tak, aż — zdarzeniem dość rzadkiem —  
Razu jednego spostrzegł się w zwierciadle  
Już nie człowiekiem, lecz kwiatkiem.

Chłopiec ten więcej głupcem był, niż głazem.  
Ja bo, w podobnej potrzebie,  
Mógłbym się kochać w wszystkich Nimfach razem,  
A zawsze kochałbym siebie.

(*Kwiaty i kolce*, str. 143).

Taki uśmiech właśnie bywa u niego najczęściej spleciony z rzewnością i tkliwością, przez co osiąga poeta wrażenie kapryśności, przerzucającej się łatwo z jednego uczucia w drugie i nęcącej czytelnika swą szczerością. Są u niego poezje, co jak bańka mydlana świecą się i tym i tym światłem, a ta gra kolorów ma swój wdzięk oddzielny, potęgując jedno wrażenie drugim. Charakterystycznym jego utworem jest »Taniec śmierci« (»Świstki Sylena«, str. 17), opisujący z wielkim humorem tragiczne pląsy ostatecznej właścicielki wszech-rzeczy:

Gdy was nudzi niepozbycie  
Pątnik, strojny na przemiany  
W śmiechu szych i w prawd łachmany,  
To się temu nie zdziwicie,  
Bo on był przez całe życie  
Taniec śmierci opętany...

(*Meandry*, str. 183).

Obok tego należy podnieść umiejętność przerzucania się w humor stylowy, czego mamy przykład w całym szeregu »śpiewów historycznych«, pisanych ze stanowiska szlachcica w kontuszu i z podgoloną czupryną. Jak świetnie opisane jest przybycie Walezyusza do Polski, do którego oczywiście szlachcic taki czuje niepohamowaną awersję:

... z za morza, czarci wiedzą po co,  
W pudełku szklanym, co je zwą karocą,  
Wiodą paniątko. Istna łątka z wosku!  
Cienki, opięty, kusy po czartowsku,

Pachniący mydłem, aż w nos człeku bije;  
Kolczyki w uszach, kołnierzyk u szyje,  
Rączka do haftu, twarzyczka różowa...

Spowity był cały

W futra i jeszcze zęby mu szczękały,  
Bo mu gadali jego poufnicy,  
Że w Polsce naszej od samej granicy  
Mróz trzaskający skrzypi wiekuiście.  
Kiedy zaś spostrzegł, że na drzewach liście,  
Na ziemi trawa, myślał sobie pono:  
Że to na jego przyjazd ulepiono,  
Bo wszystko macał, chcąc też dojść, nieboże,  
Z czego rzecz każda zrobiona być może?

Henryk ma naokoło siebie drużynę, z którą porozumiewa się po francusku, »myśląc, że to jaka mowa«.

Na sam bigosu zapach kaszle, kicha,  
Barszcz w gardło drapie, w ząb go kłuje kasza;  
Zrazów się sroma, węgrzyna przestrasza,  
I jeno swoje cukrowane cmoka  
Winka...

To też, kiedy obie strony zarówno z siebie nie zadowolone, on cichaczem... czarciem sposobem...

W tej samej, w której przyjechał, karocy  
Do Farmazonii przysnął o północy.

(*Z ponad mogił*, 157).

#### Nowi Członkowie Akademii Umiej. w Krakowie.



OJCIEC PAWEŁ PIERLING T. J.

Tak właśnie musiał wyglądać król Walezy w oczach każdego z pradziadów pana Paska. Styl uchwycony jest wybornie i przeprowadzony bardzo konsekwentnie. Umie bowiem Faleński przenieść się myślą bardzo łatwo w czasy dawniejsze, twardsze i zdrowsze od naszych, z którymi go łączy powinowactwo duchowe i z ich stanowiska zapatrywać się na świat z pewną naiwnością i prostotą, jakiej się już dziś nie spotyka. W ogóle bowiem filozofia jego jest bardzo mało skomplikowana:

... najprostsza ufność stara  
Stokroć jest mędrszą niż niewiara.  
Lecz najmniej mądrym jest zwątpienie.

(*Meandry*, 6).

Sceptycyzmu w Faleńskim nie szukać. On jeden może między wszystkimi naszymi poetami mógłby dzisiaj pisywać z Sępem Szarzyńskim hymny do Opatrzności, lub z Kochanowskim oddawać się w opiekę Bogu swemu. Byłoby to u niego zupełnie szczerem, ma bowiem nie tylko głęboką, prawdziwą wiarę, ale zna nawet często mistyczne porywy i zachwyty, ufniejszym duchom niż nasze tylko przystępne (»Zaślubiny

świętej Katarzyny»). Faleński nie jest bowiem »dzieckiem wieku«, o który to tytuł lirycy XIX wieku tak się starali, jak gdyby on był czemś zaszczytnym,

mógłby łatwo kosztem zastosowania swej natury do ogólnego intelektualnego prądu. Umiejętność zachowania własnej indywidualności jest bez wątpienia wa-

LUDWIK STASIAK.



PROCESJA BOŻEGO CIAŁA.

pozując w tym celu i nałamując swą naturę do ogólnego, a łatwego do przyjęcia szablonu. I to właśnie stanowi wdzięk Faleńskiego, że jest sobą, że nie jest banalnym, »nowoczesnym« poetą, czego dopiąć

żnym probierzem talentu, a odwaga cywilna przyznania się do swojej odrębności jest wskazówką poczucia, że ta odrębność coś warta.

STANISŁAW ESTREICHER.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## UROCZE OCZY.

KOMEDIA W CZTERECH AKTACH.\*)

(Ciąg dalszy).

HRABIA (w głębi).

Ani jedna kropla deszczu jeszcze nie spadła.

KASZTELANOWA.

Spadnie wkrótce... i niebo się wypogodzi... i słońce znowu zajaśnieje. Podobne burze sprawiają czasem wielkie spustoszenia w polu i w lesie, nie trwają jednak długo. Niech panowie raczą usiąść. Karlo, Tereniu... mości książe... chciejcie pójść za przykładem Matyldy. (Wszyscy siadają.)

MATYLDA.

Bo ja babciu ledwie żyję. (Drżąc febrycznie.) O jak ja się boję!

KASZTELANOWA.

Może wybieram niestosowną chwilę do podzielenia się z państwem miłą dla mnie wiadomością, ale tak rzadko gromadzimy się wszyscy razem w jednym miejscu, bez asystencji sług i domowników, że niemal wdzięczną jestem burzy, iż nas tu zebrała.

SZAMBELAN.

Kółko rodzinne w komplecie.

KASZTELANOWA.

I dwóch przyjaciół, którym słusznie należy się miejsce między nami.

KSIĄŻĘ (n. str.).

Chwila stanowcza się zbliża... Całą siłę sugesty skupiam w moich oczach.

KASZTELANOWA.

Przed godziną...

TERENIA (do Karoliny).

Senność mnie ogarnia... Oczy mi się kleją. (Karolina patrzy na nią ze zdziwieniem; wyciąga ręce, aby ją objąć, ale Terenia wysuwa się z nich ruchem automatycznym.)

KASZTELANOWA. (głosem surowego napomnienia.)

Tereniu!... babka mówi.

TERENIA (powstaje).

Przepraszam. (Postępuje parę kroków w stronę księcia, potem zatacza się i prawie bezwładnie siada na krześle stojącym w środku pokoju.) Słucham babciu... słucham.

SZAMBELAN.

Grzmoty i pioruny wprawdzie ogłuszają, ale słuchamy. O! słuchamy uważnie.

KASZTELANOWA.

Przed godziną książe oświadczył się o rękę mojej Tereni.

SZAMBELAN (wskazując na siebie i na hrabiego).

Dzięki naszym staraniom przezacna babuniu, dzięki naszym staraniom.

KASZTELANOWA (mówi jakby szambelana nie słyszała).

Przyznaję szczerze, że prośbę księcia powitałam życzliwie — bardzo życzliwie. Może nawet oczekiwa-

łam na nią z upragnieniem. Oświadczam więc tu, w tem gronie, złożonem z członków rodziny i przyjaciół wiernych, że błogosławię z radością przyszłemu związkowi, bo pewną jestem, że Terenia całym sercem sprzyja temu, którego jej na dozgonnego towarzysza wybrałam, powierzając z ufnością jego dłoniom przyszłość mojej ukochanej wnuczki.

Ogólne poruszenie. — Wszyscy powstają z miejsc prócz Matyldy i Tereni.

KSIĄŻĘ.

Pozwoli pani, że o uczucia panny Teresy dla mnie, ją samą ośmielę się zapytać.

KAROLINA (n. str.).

Wzrokiem ją przeszywa... Ona się mieni...

KSIĄŻĘ (idzie do Tereni).

Panno Tereso, chciej odpowiedzieć łaskawie i szczerze, czy masz choć trochę przychylności dla człowieka, który zaledwie cię ujrzał uczuł się oczarowany urokiem niewinności, jaki w około siebie rotaczasz, wdziękiem twej powierzchowności, przymiotami duszy bez skazy...

TERENIA (powstaje z pewnym wysileniem. — Krzyk bóleści wrywa się z jej piersi.)

Babciu droga! (Biegnie do Kasztelanowej, jakby chciała rzucić się w jej objęcia.) Broń... ratuj!

KASZTELANOWA (na krzyk powstała i obejmuje ją ramieniem).

Dziecko moje, co tobie?!

LUDWIK.

A! (wysuwa się z głębi naprzód, ale w kilka minut potem z gestem rozpaczcy cofa się i opiera czoło na szybach drzwi ogrodowych).

KSIĄŻĘ (wzruszony).

Co to jest? co się stało?... powiedz, powiedz panno Tereso!

TERENIA (nieprzytomnie).

Zawrót głowy... (n. str.) Wzrok jego przyciąga, dźwięk głosu myśli miesza — ale nie ulegnę, nie!

KSIĄŻĘ (bardzo szczerze).

Życie całe poświęcę twemu szczęściu. Babka pani umiała ocenić szczerść moich zamiarów. Kocham cię dla ciebie tylko... dla ciebie samej.

TERENIA (j. w. — Wysuwając się z ramion kasztelanowej i odwracając oczy od księcia).

Walczę ze snem. Oprzeć się nie mogę... nie mogę. (Idzie do Karoliny.) Siostró, powiedz, że ja...

KAROLINA (z wybuchem).

Dla ocalenia ciebie powiem wszystko!

KSIĄŻĘ (n. str. cofając się).

Jestem zgubiony.

KAROLINA.

Słuchajcie... słuchajcie!... Książe, który w tak gorących wyrazach wyznał tu w obec nas miłość swoją dla Tereni...

\*) Autor zastrzega prawa swoje w obec scen polskich. (Przypisek Redakcyi).

TERENIA (która ze zdumieniem patrzyła się w oczy Karli, rzuca się i ręką zatyka jej usta).

Nie... nie to... nie to, co teraz myślisz!... Proszę cię... (całuje jej rękę)... tego nie mów... tego nie... za nic w świecie!

KAROLINA (łkając).

Uspokój się... uspokój! Już milczę, kiedy nie każesz.

TERENIA.

Powiedz, wytłómacz, żem znużona, osłabiona, że sił mi braknie do walki... że powieki ciężą jak ołów, bo dusza wyrывa się tam — do mamy — która mnie broni, błękitnym płaszczem osłania... (Zwraca się do Kasztelanowej). Babciu!... mówić nie mogę. (Szuka błędnym wzrokiem księcia, który się cofnął). Panie... (poprawia się) mości książę... żoną twoją nie będę...

KAROLINA (n. str. z wybuchem radości).

Przymusem jej nie pokonał!

LUDWIK (z radością).

O! (Znowu się przybliżył.)

KASZTELANOWA.

Odrzucasz go?!... tego, którego ja ci wybrałam! — Słuchaj Tereniu, duszę jego szlachetną i rycerską starem mojem doświadczeniem do dna przejrzałam. Czysta jak lza, jak kryształ. On prawym Polakiem... kocha cię, godzien twojej ręki...

TERENIA (z wysileniem).

Odrzucam.

KASZTELANOWA.

Dla czego nieszczęśliwa?

TERENIA (walczy z sennością, cofa się w tył parę kroków, bierze za rękę Ludwika i pociąga go naprzód.)

Bo jeśli mam mieć męża, to ten tylko nim będzie.

KASZTELANOWA.

Nigdy!

TERENIA.

On... albo nikt. (Upada na krzesło, stojące pośrodku. — Ludwik w uniesieniu radosnem chwyta jej rękę już prawie bezwładną i składa na niej pocałunek. — Terenia machinalnie, zwykłym sobie ruchem, pełnym skromności, cofa rękę.)

MATYLDA (która powstała i przysłuchiwała się z zajęciem).

Awantura!... mała kocha pana Ludwika.

KASZTELANOWA (stoi chwilę nieruchoma, jakby piorunem rażona. — Nagle wybucha).

Ha! utrzymujesz, że on albo nikt... otóż nigdy, nigdy, nigdy on! (Zwraca się do reagenta) Pan wiedziałeś dawno na co się zanosi, a nie uprzedziłeś mnie; za ledwie z daleka, ostrożnie, podstępnie dotknąłeś wczoraj drażliwego przedmiotu. Ja nie rozumiałam... dziś rozumiem. (Z wielką goryczą) Dziękuję... dziękuję.

REJENT (mocno wzruszony).

Pani kasztelanowo...

KASZTELANOWA (odwraca się od niego ze wstrętem i mówi do Tereni).

A czy wiesz niedobre dziecko kogo wybierasz?

REJENT (chwyta ją gwałtownie za rękę).

Nie mów pani! Na miłość Boską, nie mów!

KASZTELANOWA.

Powiem, żeby wykopać między nimi przepaść na wieki.

REJENT.

Błagam!... zaklinam!

KASZTELANOWA.

Takie prośby mnie nie wzruszą.

REJENT.

A więc... przez męczarnie, jakie znoszę... zabraniam.

KASZTELANOWA.

Kto zabraniać się ośmiela, kiedy obowiązek nakazuje!

REJENT.

Sumienie.

KASZTELANOWA (zastanawia się).

Sumienie?!... dla czego?

REJENT.

Uśłuchaj pani rozkazu sumienia, bo nie wiesz... nie jesteś pewną...

KASZTELANOWA (j. w.).

Sumienie właśnie domaga się prawdy.

TERENIA.

Och! jak cierpię!

KASZTELANOWA.

Cierpisz?!... a ja czyż nie cierpię więcej... przez ciebie... i za sprawą fałszywych przyjaciół, których udawaną życzliwość poznaje się dopiero w tak okropnych chwilach. Słuchaj! ten któremu oddałaś serce... i rękę oddać pragniesz, jest twoim...

REJENT (wybucha).

Milcz!... milcz pani... bo skłamię!

Rozlega się odgłos grzmotu silniejszego od wszystkich poprzednich. — Kasztelanowa przerażona i zdziwiona słowami reagenta cofa się ku proscenium. — Rękę przesuwając po czole i upada na swój fotel. — Dość długie ogólne milczenie. — Karolina przechodzi od usypiającej Tereni, którą pocałowała w czoło, do babki, przy której przykłęka i całuje ją w rękę.

KASZTELANOWA (złamana bólem, głosem drżącym i bardzo smutnym).

Panie rejencie przebrałeś miarę... za daleko się posunąłeś... a nikt z obecnych... (z nerwowym wybuchem) bo wszyscy mi obcy, bo ich nienawidzę, bo niemi pogardzam... (uspokajając się — smutnie)... nikt nie ujął się za kobietą starą, stojącą nad grobem, bardzo nieszczęśliwą. Nawet to dziecko, to ukochane dziecko...

TERENIA (głosem sennym, pełnym bóleści).

Babuniu!... nie mów... nie mów... bo skłamię!

KAROLINA (powstaje i biegnie do Tereni).

Och!

KASZTELANOWA (wstrząsa się).

I ona... ona... jak biczem smaga mnie tym ohydny wyrazem... o!

REJENT (płacząc rzuca się na kolana przed kasztelanową i chwyta ją za rękę).

Przebacz, przebacz mi pani... Obrazić nie chciałem... bronilem tylko najdroższej mi istoty... najświętszego uczucia. Litości pani kasztelanowo, bo i ja jestem bardzo nieszczęśliwy... litości!

KASZTELANOWA (szepcem).

Usuń się... nie udrećzaj. Złamana jestem. Zdaje mi się, że spadłam z wyniosłego, w niebo sięgającego

szczytu w przepaść bezdenną. Rozbiłam się w tym upadku... i nic już we mnie nie ma całego, ani głowy ani serca. Same szczątki... same szczątki! (Pogrąża się w dumaniu).

KAROLINA (która troskliwie zajmowała się Terenią. — Z krzykiem).

Ratujcie!... Ona mdleje... może umiera. (do hrabiego) Spiesz!... biegnij!... przywołaj pannę Petronellę. (Hrabia wychodzi na lewo).

MATYLDA.

Umiera!... ach! boję się... boję. Nie mogę pa-trzeć na konających. (Wybiega na lewo.)

KSIĄŻĘ (w osłupieniu).

Cały gmach nadziei runął!

SZAMBELAN (do księcia z przybraną godnością).

Chodź!... tu nie dla ciebie miejsce. (n. str.) Oze-nię go z Rosprzycką. (Wyprowadza księcia poddającego mu się bezwiednie).

LUDWIK (który przykląkł dawniej z lewej strony krzesła Tereni i pa-trzył na nią z uwielbieniem pełnem zachwytu, mówi jakby marzył, ale spokojnie.)

Nie... ona nie umiera... nie! Jak dziecko w ko-lebce usypia cicho!

Grzmoty ustały. — Słychać rzęsisty deszcz padający. — Chwila milczenia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KAROLINA.

Tereniu przemów do mnie choć słówko... (woła Tereniu!

KASZTELANOWA (jakby przebudzona).

Tereniu!... Kto woła?... A!... moje dziecko uko-chane! Przypominam sobie... (Chce powstać). Powstać nie mogę... Karlo! wesprzej!

Karolina i rejent przybiegają i prowadzą ją do krzesła, na którym spo-czywa usypiająca Terenia.

TERENIA (szepcem).

Cierpię jeszcze... ale złe się przesila... burza minęła... deszcz pada...

KASZTELANOWA (bierze ją za rękę).

Ręka jej zimna. (Z boleścią). Czy ja ją zabiłam?!... O! Boże! miej litość nademną. (Upada na kolana przed Te-renią, pochyla głowę, robi znak krzyża świętego na piersi.) Boże! ulituj się... nie karz... zachowaj ją... ochroń!

TERENIA (j. w.).

Jak mi błogo... miło... Już nie cierpię... Błę-kity się otwierają... Usypiam, usypiam. (Wyciąga ręce przed siebie). Mamo! mamó! (Pochyla głowę na piersi.)

Zasłona spada.

ZYGMUNT SARNECKI.

## HENRYK JARECKI I JEGO NOWA OPERA

### »BARBARA RADZIWIŁŁÓWNA«

Kto nie zna Jareckiego we Lwowie a nawet w Krakowie? Wysoki, ocieślały, o fizyognomii spokojnej, odpowiadającej w zupełności jego usposobieniu wewnętrznemu, gdy zjawi się w teatrze przy swym pulpicie kapelmistrzowskim, robi niemal wrażenie człowieka »zażenowanego«, skutkiem zwróconej nań uwagi. Cichy, łagodny i niezwykle skromny z natury, radby też niewątpliwie ukryć się w najgłębszym zakątku, zamiast zajmować pierwsze i naczelne miejsce w czasie przedstawienia. Oczy jego, głęboko osadzone, nie zdradzają owe-go »boskiego szału«, który wedle starożytnych świadczyć miał o artystycznym natchnieniu. Czasami zaledwie rozplómi się w nich jakiś blask żywszy. Jakim jest jednak kapelmistrzem osądzić można łatwo z wzorowej karności, panującej pod jego batutą. Obdarzony słuchem niezwykle muzykalnym, umie rozpoznać każdy ton niepewny, to też opery przez niego przygotowane są niemal zawsze czysto i sumiennie wykonane. Kapelmistrz i nauczyciel wyborny, jest zarazem i kompozytorem niepośledniej miary. Niewiele żąda od świata, zawsze gotów do usług dla drugich, cieszy się wielką sympatią publiczności, oceniającej słusznie jego zasługi. Poważają go koledzy, a dyrekcya teatru czuje chyba najlepiej,

że Jarecki to główny filar, podtrzymujący na sobie sztuczne — wielce skomplikowane — sklepienie opery lwowskiej.



HENRYK JARECKI.

Pierwsze jego próby na polu kompozytorskim nie zawsze cieszyły się równem powodzeniem. Właściwą dziedziną dla talentu Jareckiego jest niezaprzeczenie muzyka dramatyczna, zanim jednak zaczął ją uprawiać, napisał naprzód kilka pieśni, poczem wziął się do kompozycji lekkiej, stwarzając operetkę w jednym akcie, ilustrującą tekst znanej fraszki Al. hr. Fredry (ojca): »Nocleg w Apeninach«. Żywszym kolorytem i istotnym polotem romantycznym podbił on publiczność w muzyce dorobionej do dramatów Słowackiego »Balladyna« (1872) i »Lilla Weneda« (1875). Pierwsza z tych kompozycji zyskała poklask nawet wybrednych znawców w Paryżu. Dalszy szereg prac Jareckiego przedstawia się w następującym dorobku: muzyka do »Odprawy posłów greckich« Kochanowskiego; do tragedii Calderona »Książę Niezłomny« i

do ballady Słowackiego »Hugo«. Z pierwszą wielką operą wystąpił w r. 1880 przed publicznością lwowską, wystawiając dramat muzyczny »Mindowe«, osnutym na tle tragedii Słowackiego. Kompozycja ta, obfitująca w piękne i potężne efekta, nie spotkała się z na-



JULIUSZ KOSSAK.



STEFAN CZARNIECKI.  
(1658 r.)

leżnem uznaniem. Lepszej doli doczekała się następna jego opera »Jadwiga«, do której tekst muzyk sam dorobił, na podstawie dramatu Szujskiego. Wystawiono ją we Lwowie w r. 1886. W tece swojej posiada podobno Jarecki gotową operę p. t. »Wanda«, jakiem zaś powodzeniem cieszy się obecnie ostatnia jego kompozycja: »Barbara Radziwiłłówna«, o tem świadczy najlepiej gorące, owacyjne przyjęcie jej przez publiczność i liczne, a bardzo pochlebne recenzje.

Talent muzyczny odziedziczył Jarecki po przodkach swoich, pochodzi bowiem z rodziny, odznaczającej się zdolnościami w tym kierunku. Dziad i ojciec Henryka uprawiali niwę muzyczną. Staranne wykształcenie fachowe otrzymał już w zaraniu swojej młodości. Warszawiak rodem, ukończył konserwatorium warszawskie pod Moniuszką, pod którego kierunkiem uczył się kontrapunktu, kompozycji i instrumentacji przez lat siedem. Za poparciem też nieśmiertelnego twórcy »Halki« i »Strasznego dworu« dostał się do orkiestry Teatru Wielkiego jako kontrabasista. Wtedy już zaczął komponować; właściwą jednak działalność na tem polu rozwinął dopiero we Lwowie, dokąd — po dwumiesięcznym pobycie w Poznaniu — zawezwany został w r. 1872 przez ś. p. Stanisława Dobrzańskiego, dla objęcia posady kapelmistrza. Od tego czasu pracuje — z wyjątkiem krótkiej przerwy — w stolicy Galicyi, mając zawsze na celu dobro teatru i sztuki. Wierny swoim ideałom, doszedł jedynie pracą i prawdą do stanowiska, jakie obecnie w świecie artystycznym zajmuje. Natchnienia do swych utworów czerpał głównie w myśli narodowej, bo jak to już ktoś zauważył »tony jego drgają tylko dla polskiej pieśni«. Zdając też sobie doskonale sprawę z wymagań obecnych w dziedzinie muzyki, odznacza się zawsze wybrednością motywów i prawdziwym smakiem w obrobieniu tychże. Za łatwą melodią nie goni, nigdy więc nie jest szablonowym, a często zdobywa się na rzeczy misternie obrobione. Prostota, przejrzystość i jasność w opracowaniu cechują go zawsze. Słabszy w ilustrowaniu muzyką promiennych stron uczuć ludzkich, mało zdolny do sielanki, porywa zwykle tęskną za-

dumą i melancholią. Nie zbywa mu również na sile dramatycznego wyrazu, wywołanego przez umiejętnie, świadomie dobrane efekta, zwłaszcza w dwóch ostatnich operach. Dosadną jest także w jego utworach scenicznych charakterystyka muzyczna przedstawionych figur; sceny zbiorowe noszą na sobie znamiona powagi, odznaczając się nadto iście patetycznym nastrojem. Bogato jest w nich zwykle opracowana część orkiestralna, którą w »Barbarze« wysunął kompozytor niemal na plan pierwszy. Muzyka pokrywa tu ułomności liryczno-dramatycznego poematu, stanowi jednak organiczną całość z tekstem. Słabą stroną dzieła jest jednak w ogóle brak wszelkiego polotu, a nawet akcji scenicznej w samejże tragedii (!) Magnuszewskiego, użytej za libretto do opery. Kompozytor, unosząc się pietyzmem dla autora, nie powykreślał scen, nieraz wprost naciąganych. Zachęcony przez prasę, uczyni to może jednak w przyszłości.

Nie chcąc przedłużać zbytecznie tego artykułu, nie będziemy się rozpisywać, w jaki sposób muzyka ilustruje i towarzyszy poszczególnym sytuacjom. Jako piękniejsze i bardziej charakterystyczne ustępy wymienimy jedynie: walc i chór męski w akcie pierwszym, ładnie skrytalizowane solo tenorowe w akcie drugim, obydwie duety, gawot i efektowne zakończenie pochodem pogrzebowym aktu trzeciego, oraz początek ostatniego aktu, noszący na sobie znamiona kompozycji o szerszym pokroju. Udatnym też, co się zowie, jest pełen energii i świeżości mazur wprowadzony pod koniec opery. Przynosi on w części środkowej zwłaszcza, misterną zaiste tkanę motywów. Ze szczególniejszem umiłowaniem odtworzył kompozytor pełną poezji postać Barbary. Również plastycznie wychodzą w jego kreacji Zygmunt August i Bona. Zręcznie wprowadził także element ironii, reprezentowany przez urywkowy śpiew Stańczyka.

Wystawa nader staranna i świetne wykonanie opery stanowiąc będą jedną z najpiękniejszych kart w historii teatru lwowskiego pod dzisiejszem kierownictwem.

K. J. NITMAN.

## OSTATNI ROMANTYK.

(Dokończenie).

K. Ujejski nietylko sam odczuwa potrzebę pracy nad ludem, nawołuje także do niej innych:

I z kosarzami idź w łąkę na tło,  
Idź do chat śniegiem zawianych  
I młodszych braci wywódź na światło  
Wzgardzonych i zapomnianych.

(Do młodego poety A. T. II, 159)

Biorąc tak gorąco położenie ludu do serca i bardziej domyślając się jego roli dziejowej w przyszłości, niż oceniając ją, K. Ujejski kochał go głęboko nie dla zasad lub mrzonek socjologicznych, ale poczuciem sprawiedliwości dla »pokrzywdzonych obywateli«. Któż nie zna jego głęboko wzruszającego obrazka »Za służbą« (II 169), który sam jeden za całe tomy poezji na nowożytnie temata pisanych wystarcza, tyle jest w nim prawdy, liryzmu, uczucia, goryczy. Jestto jeden z tych utworów, co »wicherzą się spodem,« do życia powołany wielkiem sercem poety, geniuszem i natchnieniem.

Że to wszystko, co K. Ujejski myślał, marzył, pisał o ludzie nie było fikcją, modernizowaniem poetyckich tematów, ideałem oderwanym, ale z głębin

duszy płynęło, dał tego niejednokrotne dowody, umiając w życiu prywatnem i publicznem związać swoje myśli i uczucia z wiejską strzechą. Z czasu pobytu w Zubrzy (pod Lwowem) pozostało na każdym niemal kroku świadectwo, że słowa i myśli wcielał w czyny, że zbliżeniem się swoim, prawdziwie braterskiem, wyrabiał w tym ludzie poczucie własnej siły i pojęcie obywatelskości, zadzierzgał węzeł solidarności, o którym tak mało myślą na seryo. Dawał tego dowody nietylko w Zubrzy ale i wszędzie, ile razy zetknął się z ludem, a trwało to podobno zawsze. Życiem dawał świadectwo prawdzie głoszonej.

Złożywszy tedy daninę z poezji i natchnienia starym bogom, myśl jego nie zasklepiła się w politycznej apoteozie Polski szlacheckiej; nie spuszczał on nigdy z uwagi i serca tych, których scharakteryzował mianem niezupełnie właściwem »najmłodszych synów« (II, 80), bo należało ich nazwać raczej najstarszymi synami; nie zapominał o ludzie, »który się dotąd nie nazwał narodem,« »tych biednych sierotach, — jak mówił — co w zniewadze giną.« Wychowany w tradycjach szla-

checkich, które kochał i szanował, mimo to przewidywał, że w niedalekiej przyszłości wystąpi najpotężniejszy czynnik narodowy, lud, i podeprze siłą swoją społeczną robotę; nie posiadał jednak dość jasno sformułowanych opinii i odwagi, aby nowy sztandar podnieść wysoko i pierwszy hufiec koło siebie sformować, tak samo, jak nie posiadali tej odwagi inni, np. Brodziński, miłością ludu najwięcej może zbliżony do K. Ujejskiego. Powstrzymała ich siła tradycji wiekowych. Z pęt jej uwalnia się najprzód myśl, a potem dopiero rozpocząć się może spokojna robota przekształcenia podwalin społeczeństwa.

Takie znamiona w rozwoju myśli społecznej widoczne są w poezji K. Ujejskiego. Po pierwszym okresie twórczości, ujawnionym wspaniałym szlacheckim liryzmem, następuje spokojniejsze rozglądanie się w życiu, badanie własnego społeczeństwa, zastanawianie się, a ztąd późniejsze modyfikowanie poglądów politycznych, rozczarowanie zaznaczone wyżej, ile razy poeta z dziedziny marzeń i ideałów zstępował do codziennego życia, ile razy uważniej przypatrywał się tym, którzy przodować mieli ludzkości. Wtedy opanowywał go pesymizm — nie dzisiejszy, płynący z pobudek materialistycznych, z zastanawiania się nad ogólnym położeniem ludzkości, nad nicością człowieka, ale powiedziałbym pesymizm polityczny. Poeta stawał w sprzeczności z nadzieją i marzeniem kołysanem długie lata, przekonywał się prawie, że to wszystko co czuł, myślał, przebolewał rozwiewa się jak fata-morgana, że nie ku światłu wszystko idzie, a ku ciemności raczej; wtedy widział swoje osamotnienie i jęczał niemal z rozpaczą, wypowiadając uczucia garstki wierzających, którzy wołali:

.... Pieśni nam dajcie, ach pieśni!  
Wstańcie wieszcie i palce rozpuśćcie po lutni,  
Złe nam bardzo, strudzeni jesteśmy i smutni,  
Słowa wasze choć losów naszych nie przełamia,  
Wzdy niech nam prorokują zbawienie — niech kłamią!  
Niech głoszą, że ojczyznę niebawem ujrzymy,  
Ciesząc się, wybierając się w drogę — pomrzemy! (II, 156)

W chwilach takiego rozgoryczenia i smutku rozglądając się trzeźwo koło siebie, degradował i gruchotał ostatnie bożyszcze, któremu jak Molochowi poświęcono tyle ofiar za marne nadzieje, za umiejętność trącania nateżonej struny, za dogadzanie słowami tylko próżności narodowej. Tym Molochem był Napoleon I.

Ślepi, głusi wołają o tobie: tyś wielki!

K. Ujejski odpowiadał w imieniu polskich matek:

.... tyś krwawy!  
W burzy, co światłem miota, prócz dumy i sławy  
Czego szukasz?  
Rozrzutnie postępujesz sobie z krwią ofiarną,  
A ludom, co z ufnością do ciebie się garną,  
Widmo przyszłej wolności rzucasz na zadatek. (II, 155)

Sprawiedliwa dusza poety oburzoną była za krew, przelewaną dla »widma wolności« — i słusznie. Ujejski wyprzedził Taine'a w sądzie o wielkim cesarzu.

Naszkiecowawszy ogólny charakter poety, przejdźmy teraz do ostatniego rysu, który najsilniej zaznaczył się w twórczości jego. W poezji Ujejskiego panuje nastrój liryczno-religijny i staje się wybitną cechą każdego, najdrobniejszego z jego utworów poetyckich. Podnoszę ten rys nie w celu pochwały lub nagany, lecz dla tego, że wydaje się on zbyt indywidualnym, iżby go pominąć można w charakterystyce pisarza. Głęboko religijny poeta w religii upatrywał zbawienie

narodu, chociaż wiemy dobrze, że społeczeństwa zdrowe, szanując religię, nie podnoszą jej jednak do wysokości sztandaru narodowego, nie uważają za punkt wytyczny dla polityki. Wiara i polityka są dziedzinami odrębnymi, które się nigdy zbliżyć nie dadzą; jedna jest sumieniem ludzi, druga walką o byt, o życie na ziemi. Nic też naród nie zyskał z namiętnego wołania: »my Twego obozu przednia straż,« z głoszenia, że »świat stary, jak Jerycha turmy, wali się w gruzy na głos twojej surmy,« zaś »hasłem naszym krzyż a miecz?« (I, 48).

Zwrócić jeszcze i na to uwagę należy, że pojęcie Boga u poety jest zupełnie indywidualne; Bóg Ujejskiego bywa nie dobrym, łagodnym, przebaczącym, sprawiedliwym, ale Bogiem hebrajskim, Bogiem Izraela, który staje w stosunku do człowieka, jak starożytny »pan« do niewolnika; jeżeli jest dobry, miłosierny, sprawiedliwy, to pragnie tylko dać przez to ludziom dowód swojej łaski; wszyscy przed nim leżeć powinni w prochu pokory. »Módl się i uderz o ziemię kolanem« — woła Ujejski do człowieka, —

Boś głupi, niski ułomny przed Panem;  
Obmyj się łzami, gdyś zwałany błotem,  
Zatęsknij z ducha za światłem i lotem,  
A wtedy spłynie wnet na ciebie łaska.

Identyfikując poniekąd losy nasze z losami *wybranego ludu*, K. Ujejski poszedł za głosem hebrajskich proroków, którzy wołali jak Izajasz »jam jest Pan, a niemasz oprócz mnie zbawiciela«; lud izraelski miał być dla tego tylko wielkim, że słuchał Boga; zwycięstwa Dawida były następstwem posłuszeństwa, zdania się na wolę Tego, którego głos słyszano na górze Peraczym, w dolinie Gabaon. Jak ongi prorocy hebrajscy, tak K. Ujejski radził narodowi: »niech ciebie za Pana ogłosi«; — wtedy miał nastąpić kres naszych cierpień politycznych. Poeta religijnym jest do mistycyzmu, przeniknięty nawskróś wstrząsająco głębokim liryzmem staro-hebrajskiej poezji i literatury, a raczej tej tylko jej części, która weszła do Biblii i utworzyła »Stary testament.«

Wypowiadając tych kilka uwag, zaznaczyć muszę, że szanuję zawsze szczerze osobiste popędy i przekonania wszystkich, tembardziej stosuje się to do przekonania poety pełnych głębokiej, prawdziwej i podniosłej wiary; ale szkicując umysłowość i charakter duchowy człowieka, nie mogłem pominąć tych rysów, które stanowią właśnie oryginalność i wielkość K. Ujejskiego, które odróżniają go od poetów szarego tłumu, szukających nowej drogi, a niezdolnych do ukochania wielkiej idei i do służenia jej całe życie. Dzięki tylko tej podniosłej miłości dla kraju, która z każdego utworu K. Ujejskiego świeci, nie był on nigdy w ciągu całego okresu swojej twórczości poetą rezygnacji politycznej i rozpacz. Wielki duch jego nie upadał nigdy, czerpiąc siły w religii i miłości, a nieraz śród łez i cierpień narodowych dzwonił pobudkę nadziei. Jestto zasługa, która mu nigdy zapomnianą nie będzie. Jego poezję możnaby porównać do wzniosłej modlitwy, w której znaczna część narodu zamknęła smutki swoje, pragnienia i nadzieje. Po niej nastąpiła noc ducha...

Na ziemi mogił pogasły ognie,  
Słychać w ciemnościach syk węży... (II, 195)

Wierzmy jednak, że po nocy znowu świt błysnie, że przyjdą inni wieszcie, którzy natchnąć nas potrafią nową wiarą i nową siłą na przyszłość.

FR. RAWITA.

E. BLAZE.





WYZNANIE MIŁOŚCI.

## PIERWSZA MIŁOŚĆ ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

## II.

Rozpaczom tym, wynikającym z tęsknoty i niepokoju, położyła wreszcie koniec pani Bobrowa, przejeżdżając niedługo po Bożem Narodzeniu do Rzymu, na kilka tygodni.<sup>1)</sup> Odtąd, na razie przynajmniej, zaczęły się dla Krasińskiego *die schönen Tage von Aranjuez*. Ciepło było, jak w maju, »w powietrzu woni co niemiarą«, a karnawał pysniejszy, niż kiedykolwiek. Z okien Corsa spadał na ziemię, na przejeżdżające powozy, »deszcz fiołków, grad cukierków«. Wszędzie, gdzie spojrzeć, widziałeś tłumy nieprzeliczone, wszędzie słyszałeś gwar, krzyk, pisk. Na balkonach, przybranych dywanami i girlandami kwiatów, na dachach, na trotuarach, pomiędzy kabrioletami i końmi, przy dogrzewającym słońcu i przepięknej pogodzie, widziałeś tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci, a wszystko w dziwacznych, pstrych, arlekinowatych kostiumach, w maskach, z przyprawionemi nosami, z przyprawionemi garbami. Adam Sołtan, najwyższy ze wszystkich członków »grona ukraińskiego«, »prosty, jak sosna wysmukła, z przyłbicą drucianą i procą płócienną, pełną pocisków tynkowych« szedł na przebój i, czując się w tym rozgardyaszu, jak ryba w wodzie, rzucał »na prawo i na lewo fiołki i confetti«. Za nim, na podobieństwo żołnierzy, kroczących za pułkownikiem (zwłaszcza, że Sołtan był pułkownikiem prawdziwym, nie tylko karnawałowym), przeciskali się ochoczo przez ciżbę inni przedstawiciele wesołego grona ukraińskiego: Ankwiczowie, Skibiccy, Zabiellowie, Jaroszyńscy, Pac, Potocki, Sołtyk, Rajewski, Danielewicz, Sauvan, Torlonia, Chiavari, a między nimi, naturalnie, i Krasiński, trzymający się, o ile możliwości, jak najbliżej pani Bobrowej, wszyscy przebrani, opancerzeni, w podobnych jak Sołtan przyłbicach drucianych, i podobne jak Sołtan »dziwy« dokazujący.

Bawiono się, jak nie można lepiej, a najlepiej ze wszystkich Krasiński i pani Bobrowa. Dla zakochanych, jak oni, wszystko, i »dyabło dziecinna buffonada« i *mocoletto* zajadłe, i »wrzaski do ogłuchnienia«, przeobrażały się w harmonijne jakieś, anielskie *chant d'amour*, którem ukołysani, porwani, »z wiośnianem tchnieniem w sercu«, zapominali niekiedy, że to rzeczywistość, nie marzenie, że to ziemia, nie raj!

W życiu ich — zarówno Krasińskiego, jak i pani Bobrowej, była to, nie ulega wątpliwości — najpiękniejsza pora, najpiękniejsza i niepowrotna<sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> Zob. Dr Antoni J. Op. cit., str. 8. »Zjechała i piękna pani Joanna Bóbr Piotrowicka, pokrewna przez męża Jaroszyńskich, żona bowiem p. Czesława z Bobrówny się rodziła«.

<sup>2)</sup> To też pamiętał o niej Krasiński do końca życia, jako o takiej t. j. jako »o najpiękniejszej i niepowrotnej«. Dowodzą tego dostatecznie chociażby tylko listy do Sołtana. Oto odnośne z nich wyjątki, które, przytoczone na tem miejscu, niemało — sądzę — rzucą światła i na sam przebieg tych »błogich dni 1835«.

»Zawczoraj skończył się karnawał. Przypomniał mi dawne czasy, owe dni 1835, kiedy ty z przyłbicą drucianą i procą płócienną, pełną pocisków tynkowych, prosty, jak sosna wysmukła, szedłeś na przebój przez Corso, z wiośnianem tchnieniem w sercu, rzucając w prawo i na lewo fiołki i confetti. Otóż dziwnie śliczna pogoda przyświecała ostatkom. *Mocoletta* pyszne, a zajadlejsze niż kiedykolwiek były: posprawał sobie *populus romanus* ogromne tyki do gaszenia stoczków w powozach i na gankach; las takich dzid unosił się nad Corsem; pisku, wrzasku do ogłuchnienia. Ponure myśli (o pani Bobrowej oczywiście) na chwilę starałem się zdusić pod gradem cukierków, pod deszczem kwiatów; lecz znikł karnawał, jak sen, a one gałganki (t. j. owe ponure myśli) zostały, i wiecznym popielcem leżą mi na mózgu, i jak

Ale jak niema słońca bez plam, tak i na tle tego ich szczęścia i uciech, trafiały się chwile rozgoryczenia, chwile gorzkich zawodów, chwile cierpień, chwile, w których chciało się Krasińskiemu »zakopać przed oczyma ludzi«, i w których przekonany był, że mu »dogorywa w piersiach zapał, w głowie myśl, w sercu uczucie«.

— A nie dzieje się to mimo wiedzy mojej; owszem, widzę każdą iskrę, co gaśnie, każdą sprężynę, co pęka, widzę duszę moją, zwijającą się w popiół, jak list spalony (list od kochanki), co zżyma się i tli jeszcze, i tuż, tuż, już czernieje, rozwieje się w nicość. Siła analizy pozostała mi: nią, jak ostrzem zatrutem, sam się rozdzieram i kraję, konam z przytomnością umysłu.

Stan taki był »karą za to, że zawiele żądał« i że zawiele żądać, było zawsze serca jego i rozumu zwyciężającym. Tymczasem były żądania, pożądanja, którym się nigdy nie mogło stać zadosyć, ponieważ zależała od tego cześć i dobra sława tej, którejby on przecież shańbioną widzieć nie chciał, jeżeli ją kochał naprawdę. A zresztą nie było o czem mówić: pani Joanna bowiem, niezłomna w swem postanowieniu, pozostawała głuchą na wszelkie ze strony swego »pana i króla« podszepty, przysięgi i zaklęcia, i opierała się im zwycięsko. Zygmunta wszakże, któremu, pomimo wszyst-

gromnicę topniejące w sercu mi tleją, i nadzyczaj mi marnie i przeklęcie na planecie tym!« (Rzym, 25 lutego 1841). »Pamiętasz ten karnawał? Widzę cię jeszcze krocącego wśród Rzymian, z tą ochotą młodzieńczą, z tym zapałem, którego braku nic nie wynagradza piersiom ludzkim! Jest to tchnienie życia skądś, z niebios, które ciało i duszę jednym duchem potężnym, lekkim czyni« (19 maja 1844, Warszawa). »Nieraz tu (w Nicei), przechodząc koło cmentarza, na którym Rajewski pocziwy śpi, przypominam sobie ubiegłe czasy: Sauvana, Rajcę, Sołtyka, Konstantego (Towarzysze zabaw karnawałowych rzymskich w r. 1835), pamiętasz? My dwaj tylko zostali, resztę skosił los. *Pamiętasz ten karnawał rzymski? Nie masz na tym planecie kolorytu, równego temu, jaki nadaje złudzenie kochania! To Tycyanada i Rafaelada na płótnie żywota! A gdy już serce niezdolne, bijąc w piersiach, tak młocząc tryskami krwi swej na zewnątrz świat, to posępnie i głucho na świecie! Ale głupstwa bredzę i lepiej już skończyć« (Nicea 9 stycznia 1846). »Polonii mnóstwo więc i komentarzów nie brak. Jest Władysław Zamojski, ze Wschodu *redux*, ale niema dla mnie moich dawnych czasów, ni ciebie Adamie, ni Konstantego, ni gwiazd, ni kwiatów, ni młodości mojej, i chodzę po tych ulicach, jak duch, po śmierci nawiedzający miejsca, w których żył, kochał i wreszcie umarł! Oh, to bardzo smutno!« (Rzym, 1 stycznia 1848). »Drogi! drogi! źle i smutno, i źle wszędzie, a nam najgorzej, a najsmutniej nam!... Już rusztowania stawiają na Corso, wnet i karnawał, nie obaczę go, piski tylko jego uszu mych dochodzić będą. *Pamiętasz niegdyś, kiedy to się nam uśmiechał świat, ziemia, morze, i kwiat kaźden, i wszystko? Nie powraca nic, a wszystko mija, prócz zacości i przyjaźni« (Rzym, 6 lutego 1852). ... nowej biedy, której-em się dochrapał w Romie, to jest fistuły. *Dawniej tam zwykłem był się zakochiwać (aluzyja do lat 1833—1834, na które przypada poznanie się z panią Bobrową. Patrz wyżej.) lub natchnień dostawać (Irydion), teraz fistuły dostawam! Tempora mutantur et nos mutamur in illis« (Baden, 15 czerwca 1852). »Zatem do obaczenia w Romie. I tam nie z wesołem ja sercem jadę: *nic mi tam nie wzywa ni wita takiego, coby mi milem indywidualnie było (i co go tam wzywało dawniej, w r. 1834). Dla mnie Rzym mój mi przeszedł, zanadto niegdyś w nim młodo mi było, by on teraz nie miał mi, jakby wyrzucać, żem się podstarzał, i to z goryczą grobową« (Heidelberga, 9 grudnia 1847, do St. Małachowskiego).****

Rzecz pod względem psychologicznym ciekawa, jak wspomnienia tej pierwszej miłości nie przestają ścigać Krasińskiego jeszcze w r. 1852, pomimo, iż po tej pierwszej miłości, przyszła druga (dla pani Delfiny Potockiej), namiętniejsza i prawdziwsza od tamtej. Nic dziwnego! O takich chwilach, jak te, które w r. 1835 przeżył Krasiński z panią Bobrową, nie zapomina się nigdy, zwłaszcza, kiedy się ma sposobność wrócić raz jeszcze na dawne miejsca, na których się niegdyś pierwszą miłością kochało.

kiego, nie przestawały roić się »fantasmata różne«, łamała ta stanowczość kochanki i nietylko, że go pozabawiała »sprężystości«, którą był dawniej gibki, »czy w mówieniu, czy w pisaniu, czy w działaniu, choćby głupstw nawet«, ale sprawiała jeszcze, że dusza jego, skolatana i rozstrojona, zapadając »wciąż z nieba w piekło«, nie umiała z pierwszego »dość wspomnień boskich zatrzymać, by zwyciężyć drugie«. I dlatego — skarżył się przyjacielowi — jabym już chciał zakończyć tę marną grę kilku myśli i kilku żywych popędów, i kilku chorób, która zowie się życiem mojem. Namietności, któremi żyć lubiłem, nie dopełniły przeznaczenia swego we mnie; w ich płomieniach musiałbym śpiewać, ale nie chcę wtedy, a kiedy miną, rozstrajam się i milczę. Nędzne to życie, które potrzebuje ciągłych podbechtań, by nie zgasło, które, prócz gorączki, nic nie miłuje i t. d. i t. d.<sup>1)</sup>

— Nicość się uśmiecha czasem mojej wyobraźni! Ktoby mi to był powiedział niegdyś?

Ażeby mu cierpień podobnych oszczędzić, kiedy się skończył karnawał i nadszedł post, a z postem deszcze i wichry, pani Bobrowa, niemniej jak on, wyczerpana tą bezowocną walką, nie czując się już na siłach walczyć dłużej, postanowiła rozciąć ten węzeł gordyjski i, choć jej trudno było rozstawać się z ukochanym, wyjechała z powrotem do Dreżna. — Do Zahajec, do męża, nie chciała, nie mogła wracać.

Kraśiński został sam, z sercem, które mu się teraz »w garść prochu obróciło«, z wyobraźnią »podlejszą od robaczka«, z rodzajem »czy choroby, czy szalu« w piersiach. »Noc ciężka« stoczyła mu się na głowę i był, »jakoby nie był«, i żył »negatywnie«, to jest tyle, że nie umarł. Na domiar nieszczęścia, czekało go lada dzień rozstanie, Bóg wie na jak długo, z Edwardem Jaroszyńskim, człowiekiem, który był w tych czasach powiernikiem jego i pocieszycielem, a który, czując się już dobrze zupełnie, wybierał się właśnie z ojcem, bratem i siostrą do Neapolu, ażeby tam wsiąść na pierwszy do Odessy płynący okręt i pożeglować w strony ojczyste. Autor »Irydion« — bo pisał się już wtedy Irydion — ponieważ, tak czy tak, obiecywał sobie czas jakiś u stóp Wezuwiuszu przepędzić, zdecydował się wyjazd swój z Rzymu przyspieszyć, gdzie mu zresztą od chwili rozstania się z ukochaną zbyt boleśnie wszystko ją przypominało, i odprowadzić Jaroszyńskiego aż nad sam golf błękitny.

Jakoż, dnia 20 marca, po burzliwej przeprawie z Civita Vecchia, przy rozszalałym wicherze i piekielnym »hałasie rozbujałych fluktów«, wylądowano szczęśliwie w Neapolu. Kraśińskiemu, jak zwykle, towarzyszyli Sauvan i Danielewicz. Przedtem, na parę tygodni, przybyli tu: generał Ludwik Pac, wybierający się na Wschód,<sup>2)</sup> i Sołtyk, narzeczony panny Henrietty Ankwicówny. Po jakimś czasie zjechali również Zabiełłowie, Rajecki<sup>3)</sup> i księżna Lubomirska, ta ostatnia obłożnie chora.

Zamieszkało w Villa di Roma »nad samiutkiem morzem«, z widokiem na Capri i na »Wezuwy«, jak nazywał Wezuwiusz stary sługa Kraśińskiego, Jan.<sup>4)</sup>

<sup>1)</sup> Por. List do Gaszyńskiego, z Rzymu, 8 lutego 1835.

<sup>2)</sup> Jakoż, wyjechawszy z Neapolu w miesiącu lipcu, w czasie podróży morskiej, na okręcie, dostał gorączki tyfoidalnej, tak, iż w kilka dni po przybyciu do Smyrny, w Azji Mniejszej, ducha wyzionął.

<sup>3)</sup> Wkrótce umarł na suchoty.

<sup>4)</sup> Jan Kruszewski, nieodstępny Kraśińskiego od lat paru sługa. W roli tej jeździł z nim wszędzie aż do roku 1855, w którym, dnia 5 stycznia, na rękę pani Elizy Kraśińskiej, umarł na raka. Zob. Listy do Sołtana, str. 422.

Ale widok ten, choć jeden z najpiękniejszych na ziemi, nie czynił na poecie — zrazu przynajmniej — nadzwyczajnego wrażenia, podobnie, jak i Neapol sam, który mu się wydał paskudnym miastem. Co prawda, od chwili, kiedy przyjechał, na dworze było zimno, dżdżysto i wietrzno. »Wiatr, szelma«, świstał przez szczeliny, tak zupełnie, jakby na statku parowym; na ulicach błoto po kostki; w powietrzu wilgoć i mgła; a w duszy tęsknota i *spleen*.

Ale wyjrzało słońce, i ożywcze jego promienie nietylko że rozweseliły krajobraz, rozlewając dokoła »wiosny przecucie«, lecz rozpogodziły także i humor Zygmunta. *Spleen* stopniał jak śnieg, ulotnił się jak kamfora, i poeta, o dziwo! przez inny na wszystko zaczął patrzeć pryzmat. Widok tych wód szafirowych, »jak toń wieczności, ale szczęśliwej, ale wielkiej«, napełniał mu serce otuchą, i nie było mu już odtąd tak »kiepsko na świecie«, jak przed paroma dniami. Tym sposobem, ani się spostrzegł, jak go natura neapolitańska — niby kobieta piękna — coraz bardziej zaczęła przynęcać do siebie i jak przekonał się, że »i w Neapolu jest niebo i raj tu i owdzie«.

Z willi di Roma, u której stóp morze zatoki partenopejskiej »rozbijało się błękitnymi zwojami«, wystarczało oczy podnieść (zwłaszcza, jeżeli się, jak Zygmunta, mieszkało na czwartym piętrze), ażeby ujrzeć przed sobą »niebo bez końca, i góry, i wyspę Capri w oddali, i Wezuwiusz na lewo«. A jednak, pomimo, że taką »pychą stworzenia« otoczony, nie mógł się tu Kraśiński, jak powiada, rozbudzić ani »dorwać się natchnień młodocianych, które niegdyś, przy kominku i w izbie ciemnej zstępowały w jego duszę«.

— Czasem tylko, kiedy Danielewicz siedzie i przygrywać zacznie; kiedy mi się wyda, że te żagle białe, że te wiosła czarne płyną i biją zgodnie z jego muzyką, kiedy ten cały widok połączy się z dźwiękami w myśli mojej i pieśnią się stanie ożywczą: wtedy podnoszę myśl ku Bogu i domyślam się krain jeszcze piękniejszych, kształtów jeszcze bardziej żyjących, które czekają na ducha mego.

Wtedy też, odrywając myśl od rzeczywistości, chwytając za pióro i pisał swojego Irydiona...

Po za tem, gdziekolwiek i z kimkolwiek był, im w piękniejszej znajdował się okolicy, a zwiedzał wszystko, co jest godne widzenia w Neapolu, poczynawszy od krateru Wezuwiusza, a kończąc na Pompei i Herculanium,<sup>1)</sup> tem dotkliwiej dawała mu się uczuć nieobecność pani Joanny, tem częściej i z tem większem utęsknieniem, na samą myśl, jakby im dobrze było, gdyby razem błądzili po tych »skalistych górach«, przypominał mu się nieśmiertelny *refrein* Goethego:

Znasz li ten kraj? Znasz go, o moja miła?

Tu byłby raj, gdybyś ty ze mną była.<sup>2)</sup>

<sup>1)</sup> Zob. Listy do Gaszyńskiego z Neapolu, 29 marca i 26 kwietnia 1835.

<sup>2)</sup> Podobnych uczuć doznawał tu w r. 1830 Mickiewicz, tęskniący za panną Henriettą Ankwicówną. Ta ostatnia, nawiasem mówiąc, nie pozostała mu wierną, bo, nie mówiąc już o Sołtyku, z którym była zaręczoną i którego żoną została w końcu, z niemałym także uwielbieniem — czysto sercowej natury — była dla Zygmunta Kraśińskiego, *Monsieur le Comte*, jak autora Nieboskiej nazywała zawsze pani Ankwicówna. Kraśiński jednak z uśmiechem poglądał na te amory: Dowodem list do Sołtana (Przegląd Polski, 1877): »Odsadzę Sołtyka, ożenię się z panną Henriettą, która mię tak wiernie kocha, kaczki z Galicyi sprowadzę do Coliseum i będę przepisywał Elegie mojej żony nad niemi«. W liście z Neapolu (7 kwietnia 1835) pisze Kraśiński do Sołtana: »Ankwicówny powiedz, że jutro jej dopiszę — *ajoutez je vous pris quelques compliments de condoléance à l'occasion du kassel* panny Henrietty...« Zob. St. Tarnowski, Zygmunta Kraśińskiego, str. 54.

(Ciąg dalszy nastąpi).

FERDYNAND HÖSICK.

## PROFILE POETÓW CZESKICH.

## I.

## JAROSŁAW VRCHLICKI.

(Emil Frida).

(Dokończenie).

\*  
W liryce Vrchlickiego — zaznaczyłem to już wyżej — trzy równoległe skonstatować się dają kategorie.

Pierwsza z nich obejmuje lirykę właściwą, uczuciową, intuicyjną, z głębin tajemniczych mimowiednie idącą i ku głębiom też dusznym — po przez stymul zmysłowy — bezdennie sięgająca. Poeta jest tu sam sobą, nie ulega żadnym wpływom, nie filozofuje, nie tworzy teoryj, nie podejmuje żadnej z góry obmyślanej misji apostołskiej. Słucha jeno głosów bijących mu z wnętrza, przegląda się w głębokich, cichych toniach duszy własnej, chwytta zwierciadła się w nich drżące, lecz za to bezgranicznie zarysy — i w rytmy i rymy je zaklina. Życie płynie koło niego, przewija się, mieni, jak przedza różnobarwna, we wrażliwej jego indywidualności coraz nowe wywołuje drgnienia — i z notacyi drgnień tych zwolna całe »pamiętniki duszy« powstają. Nazwę tę dał ongi Wiktor Hugo swoim *Kontemplacyom* (w przedmowie), a Vrchlicki, w studium o pocie francuzkim, dodał, iż księga owa jest »kroniką wewnętrznego żywota nie tylko twórcy samego, lecz każdego prawie człowieka«. Słuszniej i łacniej, usunawszy nawet zastrzeżenie *prawie*, rzecby można to samo o reprezentującym niniejszy dział własnej jego twórczości szeregu cyklów lirycznych. I one ogarniają całą drabinę żywota. Od trosk nieznającej jutrzeńki, »gdzie wszystko uśmiecha się szczęściem i nadzieją« (*Marzenia o szczęściu*), przez wiosenną dobę miłości, gdy człowiek ma »duszę w kwiecie« (*Eklogi i pieśni i Po drodze do Eldorado*), przez chmury i burze przelotne, które podnoszą tylko słoneczne wrażenie ogólnej pogody (*Gdy chmury ciągnęły*), przez aromatów pełne, parne lato szczęścia,

gdzie jednak niewytlómaczone, smętne budzą się przecucia (*Muzyka w duszy i Ogród czarodziejski*), przez spełniającą aż nadmiernie przecucia owe epokę strat, zniechęceń, zawodów, goryczy i beznadziei (*Gorzkie ziarna*), aż po chwile osiągniętej znowu, najwyższej snadź, acz zrezygnowanej pogody, jaką daje kontemplacyjne cofnięcie się w siebie i obejrzenie, teraz już z wybrzeży nieskończoności,

pasma dni ubiegłych bezpowrotnie (*Żywot i śmierć i Moja sonata*), — przez wszystkie te etapy każdy za poetą iść może i na każde głębsze wrażenie, na każde drgnienie duszne echo brzmiać znajdzie u niego strunę. Ale nie tylko wszechstrunność ta czyni z dziewięciu wymienionych ksiązek prawdziwą biblię liryczną, która człowiekowi — sama jedna — na życie całe starczyć może. Największą pod względem tym mają wagę: usuwająca wszelką możebność tak łatwego w liryce egotyzmu i czyniąca — mimo nieogarnionej faktów i wrażeń różnorodności — zwierciadło jednej duszy zwierciadłem dusz wszystkich, zdolność »wydobycia z życia, za pomocą marzenia, zawartych w temże życiu pierwiastków wieczności«, oraz brak zupełny — nader licznych w *Kontemplacyach* — ustępów refleksyjnych, filozofij i teoryj, które, jako nie wieczne, nie powszechne, lecz podlegające dyskusji i ewolucji, ograniczają zakres wpływu książki poetyckiej tylko do pewnych osobników, sfer, przekonań i czasów. Vrchlicki oddał się tu jedynie głębiom uczucia, instyktom duszy — i dlatego ta kategoria jego liryki jest mistycznym zwier-

ciadłem, w którym — dziś i po latach — każdy, zrzucawszy z duszy napływową warstwę konwencji, siebie i życie swe pozna.

Zrobić jakiś wybór, ustosunkować, co do wartości poetyckiej i artystycznej, cykle liryczne do tej se-

W. MARCINKOWSKI.



POMNIK ARCYBISKUPA X. DINDERA.



ryi należące — jest rzeczą nader trudną i najprędzej jeszcze na podstawie osobistych w danej chwili upodobań możliwą. Wszędzie jednaka głębia duszna, wszędzie jednaka gorącość i siła uczucia, wszędzie zdumiewająca śmiałość lotu, upajająca soczystość barw,

*Ogród czarodziejski* i *Moją sonatę*, z olśniewającą, nie-dościgłą wirtuozją formalną; *Gorzkie ziarna*, z Schumanowską głębią bólu, oraz niezwykłą ostrością konturów i lapidarnością języka; *Żywot i śmierć* wreszcie, z zawrotną — obok wszystkich innych zalet — otchłan-

ZDZISŁAW ALEKSANDROWICZ.



MARYLA.

oryginalność obrazów, wszędzie świetność języka i muzykalność wiersza, wszędzie nastrój aż do dna duszy sięgający. Jako niezwykle, dzięki jakiemuś specjalnemu jednej z tych właściwości rozwinięciu, jeszcze wyżej ponad ten wysoki poziom się wznoszące, wymienić można: *Eklogi i pieśni*, z przedziwną świeżością, kwietną wonią i tkliwością uczucia; *Muzykę w duszy*,

nością mistyczną i niezrównaną koncentracją w treści i formie. Gdybyśmy chcieli porównania robić, dla *Eklogi i pieśni* szukałoby ich trzeba w jakiejś kombinacji bukolików starych, Burns'a i Banville'a z epoki »Stalaktytów«; dla sekstyn *Muzyki w duszy* i *Czarodziejskiego ogrodu* — w Dancie i trubadurach; dla serenad z tychże dwóch zbiorów — w rozmarzających

nawrotnych kantylenach Dierx'a; dla »idylek«, »promenad« i »dziewczęcych profilów« *Ogrodu czarodziejskiego* — w »Pieśniach ulic i lasów« Wiktora Hugo i t. d. Porównania te jednak wskazują tylko pewne dalekie podobieństwo ogólnego wrażenia estetycznego, nie zaś jakieś pokrewieństwo w fakturze czy treści. Poeta jest tu bezwzględnie samym sobą. Porównań szukaliśmy u innych pieśniarzy tylko dlatego, aby nie wychodzić z dziedziny słowa i wiersza, ale cel swój osiągnęlibyśmy równie dobrze, zestawivszy np. »sere-nady melancholiczne« w *Muzyce w duszy* z krajobrazami Corot'a, albo też »Duszę wszechbytu« w *Żywocie i śmierci* — z muzyką beethovenowską.

Na grupę drugą w liryce Vrchlickiego składają się cykle mieszane, w których, obok poddziałów całych i niezliczonych pojedynczych ustępów o charakterze czysto lirycznym, do pierwszej właściwie kategorii należących, zjawiają się powierzchowniejsze, nie tak głęboko w istotę rzeczy sięgające, równie artystyczne, ale nie tak instynktowo już twórcze notacje faktów życiowych, oraz utwory refleksyjno-retoryczne, stanowiące niejako przejście do grupy trzeciej. Przy bajecznej płodności Vrchlickiego, a bardzo różnej intensywności wrażeń życiowych, które, jak widzieliśmy, grają u niego rolę stymulów, — powstanie zbiorów i cykli tego rodzaju jest objawem zupełnie naturalnym. Jedne pobudki poruszały go aż do najgłębszych wnętrza zakątów, wywoływały tak potężne drgania duszne, że transponowały się w nie niejako, znikając same, a zostawiając tylko swój skutek. Wtedy powstawały utwory skoncentrowane, bezdenne, nieznikome, bo pierwiastki wiekuiste w sobie tające. Że z nich wyłącznie składają się cykle do pierwszej kategorii zaliczone, to dlatego snadź właśnie, że epoki ich powstawania były chwilami nader silnie działających wrażeń (rozbudzenia młodzieńczego, miłości wiosennej, nadmiaru szczęścia, wielkich zawodów i goryczy, wielkiego skupienia się w sobie) i — co za tem idzie — niesłychanego nateżenia dusznego. W innych chwilach, gdy stymul nie był dość silny, aby wstrząsnąć całą istotą duchową poety, podniecał tylko jego władze artystyczne: wyobraźnię, zmysł kolorystyczny i muzyczny, wirtuozję formalną i t. d. — i powstawały rzeczy wysoce artystyczne, ale niemające tej, co tamte, głębi i wartości powszechnej, niezmiennej. Proces taki musiał najczęściej mieć miejsce przy utworach — że się tak wyrażę — tezowych, których punktem wyjścia była refleksja, a celem rozwiązanie takiej lub innej zagadki filozoficznej czy społecznej. Póki myśl działa jako myśl, a wyobraźnia i wirtuozja formalna dopiero w szaty piękna odziewać ją muszą, — z za najbarwniejszych obrazów, z za wspaniałych wierszy, na złotem kutych kowadle, wyrzy zawsze retoryka i efemerya. Inaczej, gdy myśl myślą wejdzie, ale w duchowej pracowni poety się przetworzy, efemeryczne pierwiastki utraci, istotą w istotę duszną twórcy się wcieli, z abstrakcji wizją wrozkowi wewnętrznemu dostępną się stanie i nieświadomym, instynktowym wybuchnie porywem. Wtedy powstaje utwór wiekuiste w sobie zawierający pierwiastki i wiekuiste też piękny. Liryka Vrchlickiego jest w tym względzie sprawdzianem znakomitym, bo poeta wiele tematów tych samych, w różnych życia epokach, w ten różny zużył sposób. Wystarczy porównać liczne — dajmy na to — ustępy w *Dnie czary* (z cyklu *Sfinks*) z odpowiednimi utworami w poddziale *De profundis clamavi* (z *Brewiarza człowieka współczesnego*).

Stosunek liczebny tych różnych rodzajów liryki w obchodzących nas w danej chwili cyklach mieszanych jest bardzo różny. Liryka czysta jest — z wyjątkiem paru publikacyj czysto okolicznościowych (*Panteon*, *Głosy na puszczy*) — zawsze w większości; w niektórych zbiorach stanowczo przeważa (*È morta*, *Rok na południu*, *Co żywot dał*, *Dni i noce*), w innych dzieli się miejscem na połowę z liryką refleksyjną; w jednych — wyosobnia się w specjalnych poddziałach (*Z własnego łona* w *Ostach z Parnasu*, *Nieco miłości* w *Co żywot dał*, intermezza córkom poświęcone w *Dniach i nocach*, *Motylach różnych barw* i t. d.), w drugich — pojedynczemi przewija się ustępami.

Jeżeli cyklem, składającym pierwszą kategorię, daliśmy zapożyczoną od Wiktora Hugo nazwę »pamiętników duszy«, to zbiorki mieszane porównać by można chyba do ogólnego notatnika wszelkich wrażeń: dusznych i zmysłowych, głębszych i płytszych, uczuciowych i myślowych. Pierwszą nicią Aryadny w labiryncie dziennika tego niechaj będzie pobieżna klasyfikacja czternastu należących tu ksiązek — podług treści. *Rok na południu* i *Na rodzinnej ziemi* zawierają wrażenia z wędrówek po Włoszech i Czechach; wiążą się z temi cyklami dwa poddziały, zatytułowane wprost: *Wspomnienia z podróży*, w zbiorach: *Co żywot dał* (reminiscencye z Włoch i Paryża) i *Różne maski* (wrażenia z Niemiec północnych i Holandyi). — Zbiorek ostatni przeprowadza nas do drugiej grupy ksiąg, poświęconych przeważnie wrażeniom i notatom artystycznym. W *Różnych maskach* aż trzy one zajmują poddziały: *Garść kamei*, *Studia taneczne*, *Geniusze*. Cykle: *Wrażenia i usposobienia*, oraz *Sonet samotnika* — i formą, i treścią — są jednym wielkim hołdem artyzmowi i sztuce. Wiążą się jeszcze z niemi większością swych poddziałów *Nowe sonety samotnika*, ale zarazem (w grupach III, IV, VI i IX-iej) wprowadzają nas w dziedzinę wrażeń codziennych z przyrody, oraz z życia prywatnego i publicznego. Dziennik ich od roku 1872 aż po 1893 daje nam poeta w cyklu *Co żywot dał* (1872—1882), w zbiorze rond p. t. *Złoty pył* (1883—1887), w *Motylach różnych barw*, w *Dniach i nocach* (1879—1889), wreszcie, w *Ostach z Parnasu* (1890—1892). Nadto, notacje specjalne poszczególnych faktów i wrażeń znajdujemy w *Panteonie*, powstałym z racyi budowy i pożaru teatru narodowego; w cyklu trenów p. t. *È morta*, napisanym na wieść o śmierci znakomitej śpiewaczki Klementyny Kalaszowej; oraz w *Głosach na puszczy*, garstce sonetów polityczno-społecznych.

Zorientowanie się, co do stosunkowej wartości estetycznej pojedynczych cykli, jest w kategorii tej trudniejszym snadź jeszcze, niż w pierwszej. Tam przeszkodą była równa prawie doskonałość wszystkich zbiorów, tu w drodze stoi jednaka we wszystkich prawie cyklach mieszanina utworów czysto lirycznych, skończonej piękności, z ustępami o treści bądź pozbawionej należnego pogłębienia, bądź abstrakcyjno-dydaktycznej, a formie, acz bogatej zawsze i potężnej, ale retorycznej raczej, niż poetyckiej. Nie wdając się też i tu w żadne gradacje, zaznaczymy znowu tylko specjalnie uwydatniające się w niektórych zbiorach właściwości. W *Roku na południu*, *Na rodzinnej ziemi* i pierwszym poddziale cyklu *Co żywot dał* (»Krajobrazy rodzinne«) poeta jawi nam się jako mistrz pejzażu, czy to kolorystycznego, czy *stimmung*'owego. *Wrażenia i usposobienia*, oba cykle *Sonetów samotnika*, *Złoty pył* i ciekawe próby w *Różnych maskach* olśniewają

kolosalną techniką poetycką i oryginalnymi co do rytmów i form innowacjami. Niektóre, wreszcie, ustępy z cyklu *È morta*, a zwłaszcza poddział *Z własnego łona* (w *Ostach z Parnasu*) cechuje tenże liryzm skoncentrowany, a mistycznych perspektyw pełny, dla którego w kategorii poprzedniej specjalną na zbiorek *Żywot i śmierć* zwróciłem uwagę.

Kategoria trzecia w liryce Vrchlickiego występuje najwyraźniej, wyosobnił ją bowiem sam poeta. Należące tu cykle: liro-epiczny *Duch i świat*, oraz liryczne *Sfinks*, *Dziedzictwo Tantala* i *Brewiarz człowieka współczesnego* stanowią — według notatki dodanej na końcu tej ostatniej książki — w połączeniu z trzema tomami epiki: *Perspektywy*, *Złomki epopei* oraz *Freski i Gobeliny*, zamkniętą »całość poetycką.« Z »całością« tą wiąże jeszcze poeta sam dwa poddziały (I i II) z cyklu *Osty z Parnasu*; my zaś, przyłączylibyśmy do niej nadto zbiorek liryczny: *Symfonia*, wydany po *Duchu i Świecie*, ale napisany wcześniej i zawierający jak gdyby studia przygotowawcze i egzericye do zamierzonego przez poetę — w tamtej książce — planu. Czem miała być owa »całość poetycka,« wspomniałem już wyżej. Poeta, uniesiony właściwą każdemu genialnemu duchowi dążnością do syntezy, oraz porwany zapewne gigantycznością wzoru, jakim mu być mogła *Legenda wieków* Wiktora Hugo, ważył się raz jeszcze na przedsięwzięcie, które przed nim już tyle wielkich duchów zawiodło. Chciał napisać epopeję ludzkości, rzecz — jak sam później zauważył w rozbiórce *Legendy wieków* — niemożliwą, »bo epopeję pisać można tylko o rzeczach zamkniętych, skończonych, a ludzkość po dziś jest złomkiem jedynie«, i to nie tylko dla tego, że nie osiągnęła do dziś kresu swej ewolucji, który Vrchlicki — za przykładem Wiktora Hugo — widział w empirycznym i chwiejnym nieco ideale dobra, światła, postępu, lecz — co ważniejsza — ponieważ poznała dotąd powierzchnię zaledwie niezmiernych głębin własnych i, wskutek tego, nie mając przed oczyma zasadniczych sprężyn rozwoju, mylić się może w ustosunkowaniu faktów i epok, zjawiskom efemerycznym zbyt nadawać wagę, a nie dostrzegać źródłem i ziarnem wszystkiego będących pierwiastków wiekuistych. Teorie tu tylko, zwłaszcza w akordach finałnych, możliwe i pod wpływem też, — płytkich, niestety i empirycznych — teoryj pozytywizmu i ewolucjonizmu powstał pierwszy cykl z tej grupy: *Duch i świat*. Była to grzmiąca fanfara radości, echo wielkiego zaufania, jakie panosząca się na ruinach metafizyk, materialistyczna, zmysłowy jeno świat znać chcąca wiedza umiała na czas jakiś wmówić światu; że wszystko jest jasne i proste, że maluczko, a wszystkie zasłony zdarte zostaną, wszystkie tajemnice — odkryte, wszystkie siły przyrody — ujarzmione, i że to człowiekowi do szczęścia wystarczy. Po chaotyczno-cyklopicznych pierwopoczątkach bytu (*Echa z prawnieku*), po słonecznej pogodzie życia greckiego (*Motywy greckie*), po ciemnościach pełnego przeczuć, podań i zabobonów średniowiecza (*Ośm legend średniowiecznych*), nadeszła doba jasnego, śmiałego spojżenia w twarz wiecznemu sfinksowi i wzięcia się za bary z tysiącem groźnych problemów (*Zagadki*). Wiedza, przez zgłębienie tajników natury, zagadki te rozwiąże, i duch człowieczy zasiądzie na sławy tronie. Poeta był tak młodzieńczo pewny stanowczości tego na świat poglądu (w którym łatwo dopatrzeć się wielu punktów stycznych z *Odą do szatana* Carducci'ego), iż nadał mu ostateczną niejako, absolutną, zakończoną

postać, zawarłszy w epickich przeważnie ustępach przeszłość, a w liryce przebiegłszy terażniejszość i wskazawszy kres idealny, zwycięstwo wiedzy. Ale przedwczesne wiary runęły, morze tajemnic okazało się niezgłębionem, rozwiązanie zagadek przez myśl pozytywną — problematycznym, wiedza materialistyczna — niewystarczająca, empiryczne utopie socjalne — złudnymi, i sfinks nieubłagany na nowo zastraszające swe wychylił oblicze. Po wybuchu optymistycznym w *Duchu i Świecie*, widzimy poetę, jak rozpacznie broni się pesymizmowi i walczy z falami zwątpienia w *Sfinksie*, a potem, jak, konstatując fatalizm losów, ku rezygnacji — w *Dziedzictwie Tantala* i *Brewiarzu człowieka współczesnego* — się chyli. Zarazem wszakże trzy znamienne uderzają nas tej zmiany w światopoglądzie następstwa. Przedewszystkiem, poeta rzeka się zamkniętych, na apriorycznej myśli filozoficznej osnutych cykli. Przeszłość całą usuwa w dziedzinę czystej epiki, bez wszelkich wnioskowań, *pointes* i dydaktycznych zakończeń, a nie zestawiając pojedynczych malowideł według żadnych teoryj, uważa je sam i podaje za odosobnione poniekąd freski, za »złomki wielkiej epopei żalu, krwi i nędzy, którą zaczęli aniołowie, której Eumenidy po dzisiaj w biegu wieków niedośpiewały,« a którą każdy ze złomków tych subiektywnie odtwarza sobie winien. Teraźniejszości poświęca wyłącznie cykle liryczne, a w nich, zrzekając się również teoretycznych systematów, poczyną notować, w bardziej urywkowy, pamiętnikowy — że tak powiem — sposób, naprzód, dydaktyczne jeszcze i retoryczne, a potem coraz bardziej odczute i coraz głębiej sięgające poglądy swe na ludzkość i jej dolę. Bo — i to jest druga ze wzmiankowanych wyżej konsekwencji — dochodzi z wolna do świadomości, że »co się zatamuje w duszy pojedynczego człowieka, to ostatecznie wszyscy w łonie mamy,« i zamiast w zewnątrzności, w starciach, bojach, walkach, teoryjach, programach i hasłach społecznych i naukowych, w sobie samym, we wnętrzu własnym rozwiązania zagadek i wątpliwości szukać postanawia. Ta to subiektywizacja, która doszła do szczytu w *Żywocie i śmierci*, różni już głęboko liczne ustępy w *Dziedzictwie Tantala*, a bardziej jeszcze poddziały całe w *Brewiarzu człowieka współczesnego* od odpowiednich ustępów i poddziałów w *Duchu i Świecie* i *Sfinksie*. Różnica tu taka sama poniekąd, jak między poezją a wiedzą w ogóle: wiedza to myśl, poezja instynkt, uczucie; wiedza to ścisłość — i, w konsekwencji, zawarcie w pewnych granicach, poezja to niepochwytność, bo nieskończoność; wiedza chwyta pojedyncze promienie słoneczne, określa je, bada, klasyfikuje, poezja w kropelce rosy słońce całe odbija; wiedza to stopniowe wstępowanie po szczeblach drabiny, poezja to wzlot bezgraniczny; odkrycia, postępy wiedzy to pojedyncze ogniwa w łańcuchu, genialny utwór poetycki to drgnienie całego, gdzieś w nieskończoność ciągnącego się łańcucha. — Uświadomienie się w poecie tej odrębności poezji, wyosobnienie sztuki w szeregu dotykanych kwestyj — oto trzecie z wymienionych wyżej następstw. W *Sfinksie* problemata filozoficzne i społeczne dominują jeszcze prawie niepodzielnie; w *Dziedzictwie Tantala* znajdujemy już cały znaczący poddział, poświęcony »Sztuce,« w dziedzinie której schroniły się wygnane przez pozytywną wiedzę bezdenne, metafizyczne tęsknoty; w *Brewiarzu człowieka współczesnego*, wreszcie, cały prawie poddział »Protesty« broni głębin, będących, dziś zwłaszcza, specjalnie sztuki dziedziną i dających jej prawa nie-

zaprzeczone do samodzielności i odrębności bezwzględnej.

Z przeglądu tego wnioskować już łatwo i o stosunku wzajemnym — co do wartości estetycznej — należących tu cyklów lirycznych. Vrchlicki zbyt bogatą ma wyobraźnię, zbyt wielkim jest mistrzem i władcą sztuki, aby — nawet stawszy się do pewnego stopnia doktrynerem — stworzyć rzecz niepoetycką, bezwartościową. Dodajmy do tego pełnię młodzieńczego zapału w *Duchu i świetle* (mówię tylko o lirycznych tego zbioru ustępach; epickie — zwłaszcza w *Motywach greckich* są prawdziwymi arcydziełami), wielką siłę przeświadczenia w *Sfinksie*, oraz potęgę słowa poetyckiego i podniosły idealizm — w obu zbiorach, a pojmujemy, że mimo dydaktyzmu, mimo retoryki, mimo efemeryczności leżących na dnie filozoficznych i społecznych teorii, cykle te mogą jednak pod wieloma względami imponować i w dziedzinie liryki refleksyjnej — niższej od liryzmu czystego, ale bądź co bądź istniejącej — wybitne nader zająć miejsce. Wyżej wszakże o cały stopień postawić musimy *Dziedzictwo Tantalusa* i, zwłaszcza, *Brewiarz człowieka współczesnego*. Przedewszystkiem, widzimy tu — w pojedynczych ustępach pierwszego cyklu i całych poddziałach drugiego (w *De profundis clamavi* i po części, w *Cichych hymnach*) — przejście ku otchłannie głębokiej, nieskończone widnokreśli otwierającej liryce *Żywota i śmierci*. Powtóre zaś — nawet wiele refleksyjno-dydaktycznych ustępów szerokością bądź koncepcyjną, bądź traktowania sięgają wyżyn, zwykle temu rodzajowi liryki niedostępnych; zwłaszcza, literacko-polemiczne »Protesty« w *Brewiarzu* olśniewają wprost wspaniałem, lwim tylko duchem zwykłym, połączeniem olbrzymiej potęgi, porywającego polotu i spokoju — zarazem olimpijskiego.

W przeciwieństwie do liryki, epika Vrchlickiego nie zna żadnych ewentualnych poddziałów, grup i kategorii. Taka, jaką wydobyliśmy na jaw powyżej, w antytezie do Wiktora Hugo, uczuciowa raczej, aniżeli plastyczna wyobraźnia poety czeskiego występuje w niej zawsze jednako i niezmiennie, bez względu na temat, miejsce i epokę. Niechaj mnie wszakże kto źle nie zrozumie, wnioskując ztąd o jakiejś monotonii, jakimś sprowadzaniu wszystkiego *par force* do jednego mianownika. Bynajmniej! Mało poetów snadź mogłoby współzawodniczyć z Vrchlickim, co do przedziwnej zdolności nadawania każdej opowieści, każdemu ustępowi epicznemu odpowiedniego *kolorytu lokalnego* i przepajania nim równie całości, jak i najdrobniejszych szczegółów. Ale koloryt ten jest u niego jakiś inny, że się tak wyrażę — psychiczny raczej, niż zmysłowy. Odrębność jego indywidualności poetyckiej polega właśnie na sięganiu w głąb przedmiotu, aż tam, z kądem nieuchwytnym, a właściwym źródłem wrażeń będące biją nastroju wytryski, na — nieświadomej może — umiejętności zużywania wszystkich danych wyobraźni, wszystkich środków artyzmu dla wytworzenia niedostrzegalnej, nieokreślonej atmosfery ogólnej, która częstokroć łatwiej, aniżeli szczegóły zmysłowe, właściwe i pożądane wrażenie wywołać jest zdolna. Dla sprawdzenia tej bezwzględnej samodzielności poety czeskiego dość porównać odpowiednie z epicznych jego cyklów ustępy z traktującymi te same temata utworami nie już epików niemieckich, bo ci — z wyjątkiem, i to względnym, Konrada Mayera — nie dorosli do poziomu, lecz np. Wiktora Hugo, lub Leconte de Lisle'a. Byłaby to nawet piękna i ciekawa praca. Dla nie chcących szukać na własną rękę podają porównanie jedno,

ale wyraziste: *Ekloga anielska w Perspektywach* i *Ogień z nieba w Pieśniach Wschodu* W. Hugo.

W skutek zdolności tej wzywania się w atmosferę wszystkich dziedzin i czasów, oraz dzięki olbrzymiej swej erudycji, nie znał Vrchlicki w wyborze tematów żadnych granic. Rozległość obszarów, ogarniętych w jego epice, wprost w osłupienie wprawić może. W pierwszym zaraz cyklu *Poematów epicznych* znajdujemy dwa utwory z tematów klasycznych, dwa ze starożytności skandynawskiej, dwa z dziejów niemieckich, jeden — z francuskich, dwa z opowieści żydowskich, dwa z życia cygańskiego, dwa — z kozackiego, kilka romanc hiszpańskich, parę epizodów z życia dzikich amerykańskich, dłuższy poemacik z epoki panowania Joannitów na wyspach Rodos — i t. d. A w następnych zbiorach nie tylko nie zacieśnił swych widnokreśli, lecz, przeciwnie, rozszerzył je w nieskończoność. »Kolosalna to wizja« — można by powtórzyć o dziesięciu jego książkach epickich słowa, jakie sam wyrzekł o *Legendzie Wieków* W. Hugo — »fresk olbrzymi, przybity gwiazd świekami do nieskończonych ram przestrzeni, Babel wypadków, wir postaci, kłęb walczących duchów ze wszystkich wieków i narodów, mieszanina ogromna barbarzyństwa i cywilizacji, hymn przerwany orgiami, pienia cherubów przy wtórze westchnień i klątw piekielnych, wielka trenodya stworzenia i stworzeń«. Fantastyczne echa prawieków, podania wszystkich ksiąg świętych, parable talmudyczne, motywy greckie i rzymskie, legendy średniowieczne, myty północy i południa, obrazy wschodu, odgłosy słonecznej Prowancyi, baśnie o czarodziejach, opowieści o rycerzach, wonie nowej wiosny renesansu i jesieni baroku, głosy wielkich geniuszów i wielkich sekciarzy, grzmoty starć i walk olbrzymich, wszystko, aż po dobę współczesną, przewija się tu, wymija, spotyka, ściera, godzi, rozprasza i zbiega znów, tworząc nieustępującą Hugo'wskiej — co do potęgi — legendę wieków. Rozbite to dziś wszystko na dziesięć — jak wspominałem — książek, bądź pojedynczymi ustępami (jak w pierwszym tomie *Poematów epicznych*, w *Złomkach epopei*, *Starych wieściach* i drugim tomie *Mytów*), bądź większymi poddziałami (jak w *Perspektywach* i *Freskach i gobelinach*), bądź, wreszcie, cyklami osobnymi, całe książki zapelniającymi (jak *Sielskie balady* i tom I *Mytów*, poświęcone specjalnie tematowi czeskim, oraz *Nowe poemata epiczne*, wyłącznie prawie zajęte przez podania, baśnie i legendy średniowiecza). Przypuszczam wszakże, iż systematyczne ukłasyfikowanie zawartości tych dziesięciu tomów (dodawszy do wymienionych *Vittorie Colonna*) w jedną wielką księgę zwiększyłoby nieobliczalnie wrażenie i stworzyłoby jedno z najkolosalniejszych dzieł poetyckich stulecia, prawdziwą biblię epicką całej przeszłości.

Z pomiędzy poruszanych przez się pierwiastków tej wielkiej całości, jaką są wieki minione, poeta niektóre specjalnie ukochał i najwięcej im miejsca w księgach swoich poświęcił.

W szeregu wybrańców tych pierwsze miejsce zajmuje antyka klasyczna. Nie masz cyklu bez kilku przynajmniej z dziedziny tej ustępów, a w wielu całe poddziały i większe poemata są jej oddane. I co do wartości — dział ten snadź na pierwszym postawiłoby trzeba miejscu. Czemu? trudno tu w paru słowach określić, tembardziej, że kwestya ta nastęrczyłaby sposobność i potrzebę porównań z tylu innymi pieśniarzami, wędrującymi po niwach greckich. Sądzymy jednak, że jeśli Vrchlicki ustępuje może co do skulptu-

ralnej strony Leconte de Lisle'owi, co do słoneczności Banville'owi, co do gwałtowności Swinburne'owi itd. to nikt chyba nie ujął, tak jak on, całej atmosfery greckiej, łączącej w sobie pogodę bez zbytej wesołości, prostotę bez prostactwa, uroczystą koturnowość bez fałszywego patosu i godzenie się z losem bez fatalizmu.

Drugie miejsce we wspomnianym wyżej szeregu zajmują legendy średniowieczne, kędy poeta po mistrzowsku oddał znowu całą duszę tej dziwnej epoki, złożonej z porywów mistycznych i żądź rozhukanych, milczeń klasztornych i poszczęków turniejowych, szmerów modlitewnych i pieśni rozpustnych, honoru rycerskiego i brutalności zbójckiej, wiary głębokiej i przechowanych w zabobonach resztek pogaństwa. Dysonansowe te napozór, a przecież — zbiegające się w symfonią tajemniczego nowych epok kielkowania — pierwiastki ujął Vrchlicki tak wszechstronnie i bezstronnie, jak nikt może przed nim, ani po nim. Innych poetów tajemnicze wieki te uderzały zazwyczaj jedną jakąś stroną: bądź malowniczością i głęboko spirytualistycznym nastrojem (romantyzm), bądź ciemnotą, fanatyzmem i rozpasaniem dzikiem (Leconte de Lisle); wydawały im się bądź błogosławionymi wyłącznie, bądź »przeklętymi« w dziejach ludzkości. Jeden Wiktor Hugo ogarniał wszystko: i ekstazy, i groźbę, i porywy spirytualistyczne, i ciemnotę, i humor, i grotesk, ale chwytając rzeczy raczej jaskrawo-plastycznie, niż nastrojowo, i lubując się przytem w zaostrzaniu i superlatyzowaniu antytez bezmiernem, nie mógł osiągnąć tej harmonijnej jedni, jaką Vrchlicki, dzięki użyciu półtonów i wydobyciu jakiejś atmosfery wewnętrznej, uwydatnić zdołał. I on niekiedy, dawszy się porwać łatwym ascezy ze zmysłowością przeciwieństwom i widząc nadto w dwu tych kontrastach dwie jedynie tegoż problemu strony, puszczał się Hugo'wskim torem antytez i robił takie zestawienia, jak *Maria Aegyptiaca* i *Pokula Don Juana*, albo *Hilarion* i *Twardowski*. Wnet jednak odzywało się właściwe mu, nieprzeparate dążenie do harmonii, ogólnego nastroju — i nie pozwalało zostawić niezapełnionymi — ziejących u W. Hugo aż do końca — między dwoma przeciwieństwami przepaści. — Pośród utworów średniowieczu poświęconych, wyróżnić należy specjalnie rzeczy na tematach swojskich, czeskich osnute: cykl pierwszy *Mytów* (zwłaszcza *Legendę o św. Prokopie*), oraz opiewający ludowe bunty i powstania w Czechach zbiorek *Balad sielskich*. Te ostatnie sięgają wprawdzie aż do połowy XVIII wieku, ale — zważywszy, że u ludu wieki średnie aż po tę chwilę, dzięki ciemnocie się ciągnęły — tutaj zaliczone być mogą. To, czego Vrchlicki w dwóch cyklach tych, oraz w licznych odosobnionych ustępach dokonał, jużby samo wystarczyło — gdyby nic ponad to nie napisał — do uznania go za jednego z największych narodowych poetów czeskich.

Z innych, ulubionych poecie i specjalnie przezeń dobrze oddawanych tematów, wymienić jeszcze trzeba: przepyszne rzeczy rokokowe, w części rozrzucone po różnych zbiorach, w części zebrane w poddziale *Fresków i Gobelinów* p. t. *Hellas w rokoku*; dalej, niezrównanie charakterystyczne balady z dziejów i podań północy skandynawskiej (zwłaszcza odnośne ustępy w *Starych wieściach*); wreszcie, mniej liczne, ale oryginalnie i barwnie traktowane obrazy wschodu.

Doba współczesna najslabiej jest reprezentowana — i nic dziwnego, bo snadź do wierszowanej epiki

mniej się nadaje. Najlepszych z tej dziedziny okazów szukać trzeba nie w cyklach epickich, lecz w lirycznych, gdzie je poeta nie bez celu i znaczenia rozrzucił. Że wymienię tu tylko dwie *idylle*: *Szumawską* i *Apenińską* w tomiku *Co żywot dał*. Ponad poziom Coppée'owski nie wznioł się w nich Vrchlicki, lub bardzo mało.

Ustosunkowania — co do wartości estetycznej — pojedynczych cyklów i zbiorów, należałoby się tu rzec, skoro — jak rzekłem wyżej — składają się one na jedną wielką całość, która na systematycznym złączeniu i ukłasyfikowaniu zyskałaby tylko mogła. Wprost też — gwoli dogodności czytelnika — zaznaczam tylko enumeracyjnie, na co specjalną należy zwrócić uwagę. Przedewszystkiem, zatem, na przypominający głębią i potęgą kolosalne freski Andrzeja Orcagna i Michała Anioła szereg malowideł gigantycznych w *Perspektywach*, *Złomkach epopei*, oraz *Freskach i Gobelinach*. Jak w sławnym *Tryumfie śmierci* pierwszego z wymienionych mistrzów, tak i tu pierwszym wrażeniem jest uczucie olbrzymości, podniesione jeszcze przez rzucony gdzieś między grzmiące fanfary wielkich wydarzeń mytycznych i dziejowych — jakby dla kontrastu i na odpoczynek zarazem — bądź odgłos bukolicznej pieszczalki w idylach klasycznych i rokokowych, bądź sciszone szmery mistycznych westchnień i hymnów w legendach klasztornych i martyrologicznych. Jako uzupełnienie, lub raczej szerszy obraz tych ostatnich, czysto wewnętrznych stron żywota, nastroczają się — dalej — same przez się *Nowe poemata epiczne*, kędy ekstazy duszne i zmysłowość, uczucie tkliwe i humor rubaszny jednakiego w poemacie naszym znalazły majstra, podczas gdy *Stare wieści*, koncentrujące w lunetowych jak gdyby obrazach cyklopicznych fresków wielkich rozmach, świadczą o sprężystości ducha twórczego, który uszczuplenie obszaru wnet pogłębieniem tem większem sobie wynagradza. Lunetami takimi są i *Balady sielskie*, gdzie poeta, w lapidarnej, uroczystą prostotą dorównywającej rapodom ludowym formie, nowe piekiel dantejskich — zdałoby się — odsłonił zakąty. W galerii epickich malowideł Vrchlickiego sześć wymienionych ksiąg są salami, najdroższe snadź zawierającymi arcydzieła.

I dwóm większym poematom: o *Hilarionie* i *Twardowskim*, acz będącym podobną do *Dziadów* mickiewiczowskich kombinacją liry, eposu i dramatu, miejsce w dziale epiki — dla kilku przyczyn — się należy. Oba poemata powstały, mniej więcej, w tym samym czasie, *Twardowski* ustępami pojedynczemi (do listopada 1880), *Hilarion* od jednego prawie rozmachu (część I i II w marcu, część III w kwietniu 1881), i oba — prawdopodobnie — pod fascynującym wpływem *Fausta*. I *Hilarion*, i *Twardowski* szukają tego samego, co *Faust*, tylko że Vrchlicki, dzięki snadź przyjętej po części od W. Hugo skłonności do antytez, rozszczepił niejako pierwotną postać na dwie, aby na dwóch drogach: ascezy i zmysłowości, dna zagadki sfinksowej szukać. W obu też utworach, jak poeta sam w notatce do *Hilariona* wyznał, celem głównym była myśl filozoficzna, gwoli której w *Hilarionie* »zmienił niekiedy chronologiczny w życiu świętego porządek«, a w *Twardowskim*, z całą swobodą, istniejące podanie nagiął, rozszerzał i przerabiał. Ale, niestety, jak wspomniałem już parę razy, filozofia empirycznego humanizmu i humanitaryzmu, którą Vrchlicki — pod wpływem po części W. Hugo, a po części całej epoki — się zadowolnił, mogła tylko chwilowo wydawać się wystarczającą. Gdy chwila minęła,

z rzeczy, pod wpływem i na tle filozofii tej osnutych, to tylko się ostało, w czym się autor z nią nie liczył i, puściwszy wodze instynktowi poetyckiemu, po za granice jej wybiegał. Tak się rzecz ma i z *Hilarionem* i z *Twardowskim*. Właściwa filozoficzna ich strona, jako niemająca dostatecznego pogłębienia, wątpimy, aby mogła być nęcącym i obiecującym tematem do studyów porównawczych, których oczekuje prof. Albert<sup>1)</sup>. Na uwagę za to i porządny rozbiór estetyczny zasługują wyborne ustępy liro-epickie (*Studentka miłość* w *Twardowskim*), satyryczne (*Zgnię dusze* tamże), oraz przepyszne obrazy epickie w formie bądź półdramatycznej (epizod: *Wesele Pirytoja z Hippodamią* w *Hilarionie*; *Donna Lukrecya* w *Twardowskim*), bądź też opowiadawczej (*Smok* i *Zemsta Wenery* w *Hilarionie*, *Balada o pająku*, *Lza* i portrety niewiast mytycznych i dziejowych w *Rozrywkach nocnych* — w *Twardowskim*), które do największych klejnotów w skarbcu twórczym poety zaliczyć można.

Wszystko, cośmy powiedzieli o epice wierszowanej Vrchlickiego, da się zastosować i do jego epiki w prozie. Tę ostatnią reprezentują trzy tomiki »szkiców, powiastek i poemacików prozą«, pod oryginalnie pięknymi tytułami: *Powiastrki ironiczne i sentymentalne*, *Barwne skorupki* i *Nowe barwne skorupki*, oraz dwie nowele, umieszczone w cyklu lirycznym: *Rok na południu*. Niewiele to w stosunku do ilości tomów poetyckich, ale i nic w tem dziwnego. Poeta tak zrósł się z »mową bogów«, iż kiedy niekiedy tylko jakaś »praca wymknie się wierszowi, a zechce zostać prozą« (patrz: list dedykacyjny w *Pow. iron. i sent.*). W pierwszych chwilach były to nawet wprost poemaciki, tylko pozbawione rymów i równej w wierszach ilości zgłosek; obrazy, zwroty, dążenie do wywołania nastroju i wszystkie inne właściwości objawiały się bez żadnej różnicy: dałyby się snadź nawet przeprowadzić podziały na epikę, lirykę czystą i refleksyjną, opisową i satyryczną. Później dopiero, zwłaszcza w *Nowych barwnych skorupkach*, poeta, nie pozbywszy się właściwej mu delikatności nastrojowej<sup>2)</sup>, ani dbałości o piękno i rytm pewien, nawet w prozie, uzupełnił je nadto bacznością na szczegóły zmysłowe i psychologiczne, przy czym jednak — właśnie dzięki owym właściwościom pierwotnym — uniknął suchego katalogowania zarówno zjawisk zmysłowych, jak i stanów psychicznych, i osiągnął syntezę, względnie rzadko u nowelistów — trzymających się doktryn naturalizmu i psychologizmu — spotykana.

W poezji dramatycznej do syntezy takiej nie doszedł, a próby godzenia prawdziwej poezji z kozołkowaniem technicznym, które zwie się dziś dramaturgią, tylko na złe pierwszej — zda się — wyjść mogło. Argumentem ważnym za lub przeciw tej hipotezie byłaby znajomość paru książkowych (nie torturowanych jeszcze przez wymagania t. zw. sceniczności) poematów dramatycznych, które później dla teatru zupełnie przepracowane zostały. Niestety, również w *Juliuszu Apostacie*, jak w trylogii, poświęconej tragicznym losom Hippodamii (I *Światy Pelopsa*, II *Pojednanie Tantara*, III *Śmierć Hippodamii*), znamy tylko wtóre owe transkrypcje; o pierwotnych zaś poematach tyle

<sup>1)</sup> W wymienionej wyżej broszurze.

<sup>2)</sup> Tę to snadź właściwość Vrchlickiego, po części narodowa, po części indywidualną odczuł Brandes, czytając w przekładzie niemieckim jego prozę. Nie pojął jej jednak i nazwał »kobiecością«, co zastanowiło samego poetę. (Por. w jubileuszowym numerze *Złotej Pragi* artykuł Ferd. Schulza p. t.: *Jarostaw Vrchlicki i Jerzy Brandes*).

wiemy, że istniały. Że Vrchlicki — i w dziedzinie dramatu — całą istotą ciąży ku poezji, czyli, że kompromis z *art ignoble* teatru dzisiejszego jest późniejszą i bardziej zewnętrzną naleciałością, świadczy sam wybór tematów, bynajmniej nie schlebających zwyktemu u tłumów łatwych igrzysk pragnieniu, lecz porywających duszę artysty cechami szlachetniejszego piękna. Większość ich dostarczył poecie tyle ukochany przezeń świat klasyczny. Należy tu pięć tragedji (wymieniona wyżej trylogia, *Julian Apostata* i *Śmierć Odysseja*), oraz trzy komedje (*W beczcze Dyogenesa*, *Zemsta Katulla* i *Uszy Midasa*). W tragedjach poeta nie jest jeszcze — zda się — u kresu swej ewolucji; *Uszy Midasa*, za to, są skończoną perełką, która może nie trafiać do skażonego smaku dzisiejszych czasów, ale zabłyśnie w całej świetności, gdy istotna poezja dramatyczna znowu stracony tron posiedzie. Rzeczom ojczystym pięć autor dzieł poświęcił. Śród tragedji, *Drahomira* — mimo pewnego epickiego raczej, niż dramatycznego zacięcia — góruje nad *Braćmi* i *Egzulantami*; z komedji zaś, jakkolwiek *Noc na Karlsztynie* wyjątkowo cieszy się powodzeniem, wolałbym głębszą o wiele *Mądrość Rabina*. Jeżeli dodamy do rzeczy wymienionych, dwie komedje z epok minionych dawno (*Pietro Aretino*, barwny, choć nie dość może skoncentrowany obraz z czasów odrodzenia weneckiego, oraz rozkoszne echo słonecznej Prowancyi p. t. *Sąd miłości*) i dwa jednoaktowe dramaciki społeczne (*Do życia* i *Nad przepaścią*), które nie miały szczęścia podobać się u nas zwolennikom zajadłym płaskich fars i wodewilów albo sentymentalności scenicznych, — balast dramatyczny naszego poety zostanie prawie wyczerpany. W ostatnich czasach zapowiedział Vrchlicki podobno, iż zrywa ze sceną; chcielibyśmy to rozumieć nie jako zerwanie ze sztuką dramatyczną, bo dalszej ewolucji z ciekawością wyglądamy, lecz z owymi kompromisami dla prawdziwej poezji w każdym razie szkodliwymi.

Obok działalności twórczej poety czeskiego, wspomnieć należy i o jego pracach analitycznych z dziedziny krytyki i dziejów literatury, również swojskiej, jak powszechniej. Dobytek jego jest w zakresie tym kolosalny: osobno wyszły wprawdzie tylko *Profile poetów francuzkich*, studjum o Leopardim, oraz wielki tom *Studyów i portretów*, ale z artykułów rozrzuconych po rozmaitych czasopismach tomy by się już złożyć mogły. I pod tym względem usługi, oddane przez Vrchlickiego krajowi, są nieobliczalne. Rzec można, iż — dzięki studjom swym i przekładom z dziedziny piśmiennictw obcych — dał on sam jeden narodowi swemu tyle, na ile całe pokolenia przed nim, razem wzięte, jeszcze się nie zdobyły. A i w sferze badań nad literaturą ojczystą płodne rzucił ziarna. Krytyczne jego studia o Erbenie, Bozdziechu i t. d. otworzą może nową — w dziedzinie tak niedołęznej po dziś krytyki czeskiej — epokę, zwłaszcza, co się tyczy erudycji i porównawczego sposobu badania. Co do strony filozoficznej, krytyka Vrchlickiego mniejby nas zadawała, szczególnie w zastosowaniu do następców i naśladowców mistrza. Polega ona nietyle na ścisłej analizie, ile na wyczuwaniu — dzięki właściwej mu wielkiej wrażliwości estetycznej — jasnych i ciemnych stron dzieła czy autora. Potężna wyobraźnia i nieograniczona władza nad językiem pozwalają mu w dostatecznej mierze wszystkie wrażenia oświetlić i uwydatnić. Ale brak częstokroć pogłębienia i ściągnięcia ku dalszym, ogólniejszym przyczynom, co u niego — gdzie

bogaty instynkt artystyczny wystarcza — nie byłoby jeszcze tak koniecznym, ale co u krytyków instynktu tego pozbawionych jedynym może być sprawdzianem i drogowskazem. Niezadługo zapewne Vrchlicki powołany zostanie na profesora literatury powszechnej przy uniwersytecie pragskim. Z wykładów jego wiele sobie obiecywać można, a my osobiście — poklaskiem szczerym witamy pierwszy może w Europie (z wyjątkiem Włoch) od czasów Mickiewicza fakt zajęcia jednej z najważniejszych i największy wpływ mogących wywierać katedr przez wielkiego poe-  
\*  
tę.

Vrchlicki stoi dziś u szczytu sławy, jakkolwiek snadź jeszcze nie u szczytu rozwoju. Jak na dzisiejsze wrogię poezji czasy, szczęsną może pochłubić się dołą, iż za życia jeszcze ujrzał plony swej pracy, iż słyszał,

jak cichły powoli tak częste ongi, choć zabawne wprost zarzuty: kosmopolityzmu, niemodernizmu i t. p. a wszystkie głosy coraz bardziej w unisonowy podziwu i uwielbienia łączyły się okrzyk. Twórczość jego przestaje już być wyłączną Czechów własnością: prof. Albert wprowadza go do Niemiec, Brandes pisze o nim w Danii, a lada dzień poezja jego tryumfalnie do Francji wkroczy. Wszystko to zbliża chwilę, najbardziej dla każdego poety pożądaną, gdy głębsze studia krytyczne poczną odsłaniać zawarte w krynicach twórczości jego skarby, aż wreszcie duch cały z dzieł, jako słońce z lazurów przestworza, olśniewająco się wynurzy.

Nim ta chwila, której mu również jeszcze za życia życzymy, nadejdzie, niechaj poeta życzliwie przyjmie tę naszą skromną, wgłębienia się w otchłań jego duszy próbę.

ZENON PRZESMYCKI.

## K R O N I K A.

\* J. E. książę kardynał A. Dunajewski sam osobiście celebrować będzie na nabożeństwie żałobnym w czasie pogrzebu ś. p. Teofila Lenartowicza. Dostojny pasterz był bliskim przyjacielem zmarłego poety. Mowę pogrzebową w kościele Panny Maryi wygłosi O. Czesław, Bernardyn.

\* Adam Asnyk, wyjechał w d. 30 maja do Florencji w celu odebrania zwłok ś. p. Teofila Lenartowicza, które — jak wiadomo — przybędą do Krakowa w d. 11 czerwca.

\* Senat uniwersytetu lwowskiego postanowił przyjąć udział w uroczystym pogrzebie T. Lenartowicza, odbyć się mającym w Krakowie w d. 12 czerwca. Wszelknie reprezentować będą rektor i dziekani wszystkich trzech wydziałów.

\* Pius Weloński, wykończył w swojej pracowni w Rzymie piękny posąg z marmuru, który nazwał »Kalina«. Nadto wielce utalentowany artysta-rzeźbiarz oddaje się z zapałem malowaniu obrazów religijnej treści.

\* Jury wystawy obrazów na *Champs Elysées* w Paryżu — pod prezydencją Juliusza Lefebrea — przyznało drugi złoty medal Kazimierzowi Pochwałskiemu za jego dwa portrety.

\* Pomieszczamy w dzisiejszym zeszycie naszego czasopisma wierną kopię grobowego pomnika ś. p. X. Arcybiskupa poznańskiego, Dindera, wykonanego przez utalentowanego artystę-rzeźbiarza W. Marcinkowskiego. O monumencie tym wspominaliśmy już na tem miejscu w jednym z poprzednich numerów *Świata*.

\* Roman Kochanowski, znakomity i sympatyczny pejzażysta polski, stale mieszkający w okolicach Monachium, bawił w mieście naszym w przejeździe z Warszawy do Bawaryi dzień jeden.

\* Czesław Jankowski, znakomity malarz, rysownik i ilustrator, przybył z Paryża do Krakowa na trzy tygodnie. Równocześnie cykl jego kartonów ukaże się w *salonie* naszym na nieustającej wystawie Tow. Przyj. Sztuk Pięknych w Sukiennicach, o którym pomówimy obszerniej w przyszłym zeszycie *Świata*. Dzielny artysta, pomimo widocznego zmęczenia nadmierną pracą nie odpoczywa w naszym mieście, ale wykończy kilka prac mniejszych, zamówionych dla Londynu i stolicy Francji.

\* Popiersie czcigodnego Dra Smolki, przeznaczone do parlamentu wiedeńskiego, rozpoczął modelować w glinie Tadeusz Błotnicki. Sędziwy były prezydent austriackiej izby poselskiej pozuje po parę godzin dziennie utalentowanemu artyście w gmachu zakładu Ossolińskich we Lwowie, gdzie dzięki uprzejmości

kuratorowi otrzymał nasz rzeźbiarz jedną z komnat na tymczasową pracownię.

\* Wymienialiśmy już, według sprawozdania naszego korespondenta, obrazy artystów polskich, które w *salonie* na *Champs Elysées* zwróciły na siebie uwagę krytyki francuskiej; dziś zaznaczamy, że taż sama krytyka bardzo pochlebnie wyróżnia w *salonie* z pałacu *des Beaux-Arts* na polu Marsowem: portret Cypryana Godebskiego w ubiorze aksamitnym przez *Teodora Axentowicza*, portret własny *Aleksandra Gierymskiego* i cały szereg krajobrazów *Stanisławskiego*, drobnych wprawdzie, ale malowanych z wielką umiejętnością i siłą prawdziwego talentu.

\* Oglądaliśmy w tych dniach w pracowni Wojciecha Kossaka pyszne szkice do wielkiej panoramy przyszłej wystawy lwowskiej. Krajobraz odtworzony z niesłychaną wiernością — dysze prawdą. Ruch, życie, wroty koni i ludzi, a przytem tak zwana »furya francuska« — właściwa Kossakowi (synowi) — czyni akcję kompozycji niezmiernie interesującą. Całość — chociaż olbrzymia i z natury swego przeznaczenia rozczłonkowana na epizody — jest zupełnie harmonijną, jednolitą, wielce ciekawą. Od obrazu trudno oczu oderwać, a patrząc nań tłum myśli różnych ciśnie się do głowy.

\* We Lwowie rozstrzygnięto konkurs na pomnik Tadeusza Kościuszki, stanąć mający w Chicago. Pierwszą nagrodę (1000 zlr.) otrzymał *Tadeusz Barącz*; drugą (750 zlr.) prof. *L. Marconi*; trzecią (500 zlr.) prof. *Wiśniowiecki*; list pochwalny *J. Beltowski*.

\* W naszym *salonie* krakowskim mieliśmy w tych czasach dwie wystawy zbiorowe. Jedną malarską *Stanisława Tondosa*, składającą się z dużych, wspaniałych akwarelli sympatycznego artysty, przedstawiających gmachy i ulice naszego miasta, Pragi, Norymbergi, tudzież kanały i place w Wenecji. Drugą rzeźbiarską, *Tadeusza Błotnickiego*, złożoną z posągów, biustów i medalionów, pomiędzy którymi szczególniejszą na siebie zwracają uwagę popiersia: *Stanisława Konarskiego*, *Oskara Kolberga*, ś. p. *Ignacego*; wizerunki płaskorzeźbowe: ś. p. *Zybkiewicza*, prof. *Fiericha* (syna), a wreszcie kompozycje: *Madonna modląca się*, *Samson* i »*Hulaj dusza*«.

\* Jeden krajobraz Romana Kochanowskiego znajdujący się na wystawie w *Künstlerhausie* został nabyty do prywatnych zbiorów cesarza. Dwa drugie kupili członkowie rodziny monarszej.

\* Na wystawie obrazów w Pradze czeskiej znajdują się obecnie następujące dzieła arty-

stów naszych: *Henryka Siemiradzkiego* »*Wazon, czy kobieta*«; *Kazimierza Pochwałskiego*, dwa portrety (jeden z nich *Henryka Sienkiewicza*); *Wacława Szymanowskiego* »*Idylla*«; *Józefa Ryszkiewicza* »*Ulica Zjazd w Warszawie*«.

\* Na wystawie sztuki w Berlinie, otwartej w d. 16 maja, znajdują się obrazy następujących polskich artystów: *Alfreda Wieruszkowskiego* dwa płótna, *Wywiórskiego* jedno, *Olgi Boznańskiej* trzy, *Jana Chełmińskiego* trzy i *Heleny Kossobudzkiej* jedno.

\* W wiedeńskim »*Ognisku*« wygłosił Zenon Przesmycki (*Miriam*) bardzo piękny odczyt o poecie czeskim *Kollarze*, autorze »*Córy sławy*«.

\* Konferencye nauczycieli szkół wyższych odbywały się w naszym mieście w ciągu dwóch dni Zielonych Świąt z niezwykłym ożywieniem. Zakończyły się one zwiedzeniem parku zabaw i gier dziecięcych, w którym założył tej znakomitej instytucji, a zarazem prezes Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych, prof. Dr. *Jordan*, podejmował uczestników zjazdu podwieczorkiem.

\* Grono dam krakowskich należących do Tow. św. Wincentego a Paulo, z panią doktorową *Pareńską* na czele, wydało na korzyść ubogich naszego miasta tak zwaną *jednodniówkę*, p. t. »*Skarbonka*«. Autorowie nasi, dziennikarze, artyści, dyletantki i dyletanci zapełnili ją mnóstwem aforyzmów, artykułików, wierszyków i przygodnych przypowieści. W dziale pierwszym z szczerym uśmiechem zadowolenia czyta się aforyzm *Bolesława Prusa*, dowcipnie odsłaniający słabą stronę tego rodzaju ulotnej produkcji. Brzmi on jak następuje: »Autor piszący aforyzmy podobny jest do człowieka, który dusi się w tłoku: prawda, że ma czem obetrzeć spocone czoło, ale nigdy nie jest pewnym, czy chustkę wyciągnął z własnej, czy może z cudzej kieszeni.« Następnie zwracamy uwagę na bardzo zręczny i wytworny wierszyk *Mieczysława Pawlikowskiego*, śliczną przypowieść *Henryka Sienkiewicza*, lapidarne sentencje *Adama Asnyka* (*El-yego*), myśli pełne głębokiej życiowej obserwacji *Wiktora hr. Bawrowskiego*, dwa czterowersze — może nie kunsztowne — ale błyszczące rozumną prawdą *Mieczysława Sachorowskiego*, szczerze dowcipne zdanie o głupocie ludzkiej *Wincentego Kosiakiewicza* i t. d. Aż tyle rzeczy oryginalnych i naprawdę rozsądnych lub ładnych — a nie wyciągniętych »z cudzej kieszeni« — to istny fenomen w *jednodniówce!* Wiwat zatem »*Skarbonka!*« Polecamy ją gorąco naszym czytelnikom.

